MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 12 WARSZAWA, 24 MARCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

O CAŁOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ PAŃSTWA

Po projekcie konstytucyjnym Bloku Bezp. Współpracy z Rządem, omówionym już w dyskusji parlamentarnej i na łamach „Myśli Narodowej", wpłynął pod obrady Sejmu drugi z kolei projekt rewizyjny, zgłoszony przez blok lewicy. Jeden z przywódców Polskiej Partji Socjalistycznej, komentując ten projekt, zapewnia nas, że walka decydująca rozegra się jedynie między temi dwoma programami naprawy, i że nic nie zaciemni jasnego obrazu tej walki. Nie wiemy, czy tak będzie, ale to jest niewątpliwe, że byłoby dla sprawy reformy Konstytucji rzeczą wielce niekorzystną, gdyby społeczeństwo polskie skupiło całą uwagę na takich pomysłach naprawy, jak te, które nam proponuje BB. i lewica i gdyby stawało po tej lub po tamtej stronie.

Twierdzenie nasze postaramy się tutaj wyjaśnić. Wiemy już, co sądzić o projekcie Bloku Bezpartyjnego, o tem, co pragnie on osiągnąć i w jaki wir niepokojów i walk wprowadzić może Polskę. Jest to próba utrwalenia dyktatury i stworzenia cezaryzmu. Temu pomysłowi lewica przeciwstawia projekt utarwalenia systemu demokratycznego, a raczej ludowego parlamentaryzmu.

W jaki sposób chce to uczynić? Wybór Prezydenta Rzeczypospolitej ma być dokonany nie przez wybranych do ciał ustawodawczych reprezentantów ludności, lecz przez specjalne koło elektorów. W tem Kole mieści się cały ogół obywateli państwa. Poza wyznaczeniem z góry dwóch kandydatów, sposób obioru Prezydenta, proponowany przez lewicę, nie różni się właściwie niczem od projektu Bloku Bezpartyjnego. I tu i tam następuje elekcja viritim, i tu i tam staje Prezydent z bezpośredniej woli ludu. Jasne jest, że taki sposób obierania Prezydenta ułatwia mu możność przeciwstawiania się woli ludu, wyrażonej w reprezentacji parlamentarnej. W projekcie BB., dążącym do cezaryzmu, jest to posunięcie logiczne i trafne. Czy atoli może pomóc do utrwalenia systemu demokratyczno-parlamentarnego i do uniknięcia absolutyzmu? Przez odebranie reprezentacji narodowej prawa wyboru Prezydenta, przez stworzenie odrębnego źródła powstania władzy Prezydenta, który jest czasowym plenipotentem narodu, umniejsza się niewątpliwie znaczenie i powagę demokracji parlamentarnej i zwiększa znaczenie i powagę Prezydenta. Czy o to chodzi lewicy?

Inny jeszcze sposób proponuje lewica dla wzmocnienia systemu demokratyczno - parlamentarnego. Jest nim wprowadzenie jednoizbowości parlamentu. Dlaczego tak ma być? Podobno dlatego, że Senat w Konstytucji marcowej został narzucony przez prawicę, że działalność pierwszego Senatu w odrodzonej Polsce nie okazała się pożyteczną i że lewicy chodzi nie o przeciąganie pracy ustawodawczej, ale o jej sprawność. Tyle jest argumentów dla uzasadnienia jednoizbowości. Co można na to powiedzieć? Czy warto przypominać, że dwuizbowość we wszystkich państwach o wyższym poziomie cywilizacyjnym jest rzeczą przyjętą i niepodlegającą dyskusji? Nawet Wielka Rewolucja francuska szybko pozbyła się jednoizbowej reprezentacji narodowej. Dlaczego właśnie państwo jugosłowiańskie, jedyny wy-

jątek z reguły europejskiej, stało się dla lewicy przykładem do naśladowania? To są tajemnice, których nie warto badać tak, jak nie warto pytać, dlaczego praca ustawodawcza ma być sprawniejszą przy systemie jednoizbowym, niż przy istnieniu rozważnego regulatora, jakim jest zawsze druga izba ustawodawcza. Pozostawmy więc lewicy polskiej jej specjalne upodobanie do jednoizbowości parlamentu, ale spytajmy się, czy to może wpłynąć na podniesienie, czy na obniżenie powagi demokracji parlamentarnej. Dla każdego, który ma jaką taką znajomość prawa politycznego i doświadczeń historycznych, jasnem być musi, że zniesienie Senatu, obniży znacznie powagę reprezentacji narodowej w Polsce. Tembardziej jest to jasne, że projekt lewicy nie zmienia w niczem dotychczasowej ordynacji wyborczej, że trwając uparcie w swojej ideologji ludowej nie stara się bynajmniej o podniesienie poziomu kulturalnego i politycznego wybrańców i reprezentantów ludności. Jeśli dodamy do tego, że przy utrzymaniu dzisiejszej ordynacji wyborczej, pozostawia się stan rozbicia parlamentu na szereg drobnych partyj i partyjek i że przez to niszczy się podstawy wszelkiego rozumnego parlamentaryzmu, opartego na celowej grze większości i mniejszości, to zrozumiemy łatwo, że projekt lewicy, walczący nibyto o demokrację parlamentarną robi wszystko, aby ułatwić grę ambicjom absolutystycznym i zniszczyć znaczenie reprezentacji narodu.

Przy takim systemie, przy prezydencie wybieranym viritim przez całą ludność — nawet przez wrogów Państwa — przy rozbitym i słabym parlamencie jednoizbowym, przy braku wszelkich stałych ośrodków myśli i woli politycznej, otwartą byłaby w Polsce droga dla utrwalenia się roli i rządów wszelkiego rodzaju międzynarodówek, które by Państwo nasze czyniły przedmiotem swych operacyj i narzędziem swych planów. Jakby wówczas wyglądała niepodległość Polski! A przecież obrona niepodległości, stworzenie sobie takich warunków bytu, — a ustrój państwa jest jednym z takich warunków — przy których zachowanie istotnej niepodległości najlepiej daje się osiągnąć, jest naczelnym i najwyższym obowiązkiem każdego Państwa.

Jest jeszcze drugi naczelny obowiązek Państwa, który warto przypomnieć przy rozpatrywaniu konstytucyjnego projektu lewicy. Tym obowiązkiem jest zachowanie całości.

Czy w projekcie bloku lewicowego znajdujemy postanowienia, któreby ułatwiały państwu spełnienie tego zadania? Niestety nie widzimy w nim dążenia do wzmożenia siły polskości w państwie polskiem. Natomiast proponowane jest nadanie autonomji terytorjalnej ziemiom o ludności mieszanej. Czy przywódcy lewicy polskiej, od których przecież ma się prawo wymagać pewnej, choćby elementarnej znajomości polityki i historji, nie rozumieją, czem to w dzisiejszych warunkach grozić może Polsce? Czy oni nie wiedzą, żeśmy prawie półtora wieku przebyli w niewoli, że rządy zaborcze czyniły wszystko możliwe, aby obcojęzyczne masy ludowe przepoić nienawiścią do Polski, że rządy zaborcze zostawiły nam cały szereg ośrodków agitacji antypolskiej? Czy nie umieją oni zdać sobie sprawy z fatalnych, opłakanych rezultatów, do jakich doprowadziła polityka demokratyczno - wolnościowa, stosowana w odrodzonej Polsce od dziesięciu lat wobec ludności obcojęzycznej? Kiedy polskość, dawniej tak silna i tak poważana, została tak gruntownie osłabiona i poniżona przez zaborców i przez nas samych — to nie czas na pomysły autonomij terytorjalnych, któreby się z konieczności stały ośrodkami polityki antypolskiej i terenami wpływów obcych, dążących do rozbicia naszego państwa. Jak rozbrajająco naiwne jest powoływanie się zwolenników autonomji terytorjalnej i rozbicia naszej jednolitości państwowej na piękne hasło unji lubelskiej „Wolni z wolnymi, równi z równymi!“ Czy mamy dziś potężną Polskę Jagiellonów? Czy dzisiejsza Polska ma taką, jak ongi siłę przyciągającą? A przecież Unja z Litwą i Rusią już od dawna została dokonaną i doprowadziła do zupełnej jednolitości Rzeczypospolitej Polskiej. Czy mamy rozbijać całość na to, aby na nowo łączyć wyodrębnione ziemie! Kto nam zaręczy, że dziś ta próba się uda? I wreszcie pocóż robić takie ryzykowne próby i wiwisekcje na ciele własnego narodu i państwa. Wszystkie zieme, które nam się udało odzyskać i które są częścią tylko ziem dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej — są ziemiami polskiemi. Jako takie musimy i mamy prawo je traktować. Kiedy Polsce dzisiejszej grozi tyle niebezpieczeństw, które mamy obowiązek odeprzeć — nie wolno nam samym — Polakom — pomnażać jeszcze ich liczbę przez wprowadzanie do naszego ustroju urządzeń grożących całości państwa.

Dwa momenty, jakie tutaj wysunąłem — obrona demokracji i rozbicie jednolitości państwa — nie wyczerpują socjalistyczno - radykalnych prób naprawy, jaką projekt lewicy chce Polskę uszczęśliwić. Jest jeszcze żądanie rozdziału Kościoła od Państwa i zniszczenia ustroju gospodarczego, opartego na prywatnej własności. Wystarczy już jednak tego, com powiedział, aby wykazać groźne niebezpieczeństwo, jakie zawiera w sobie projekt socjalistyczno-radykalnego urządzenia Polski.

Wierzymy, że zdrowy instynkt samozachowawczy i patrjotyzm polskiego narodu są dość silne do odparcia tego niebezpieczeństwa i do zapewnienia Polsce siły i stałości na innych zasadach ustrojowych niż te, które nam proponuje z jednej strony lewica, z drugiej Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

KONSERWATYZM NA ROZDROŻU

(Dokończenie).

ODMIENNE koncepcje sprawy mniejszościowej nie wyczerpują jeszcze wszystkich różnic, dzielących światopoglądy dwóch obozów. Są jeszcze inne przeciwieństwa, związane z zagadnieniami chwili bieżącej, a głównie ze stosunkiem do rządu. Opozycyjny stosunek grup narodowych p. Bobrzyński piętnuje, jako „karygodne niezrozumienie podstawowych interesów Ojczyzny, karygodne dlatego, że uparta opozycja przeciwko jedynemu obecnie autorytetowi w państwie i namiętna kampanja przeciw wdrożonemu już z dużem powodzeniem dziełu naprawy Rzeczypospolitej, kompromituje przez endecję całą Polskę w oczach trzeźwo myślącej zagranicy".

Ta trzeźwa opinja zagraniczna wyraża jakoby „przez usta poważnych przedstawicieli już niejednokrotnie swe zdziwienie z tego powodu i oburzenie". Aczkolwiek mamy podstawy sądzić, że z tą zagranicą rzeczy mają się nieco inaczej, to jednak nie kwestjonując tych prywatnych zwierzeń, możemy przyznać autorowi, że robił, co mógł, aby Polskę w oczach trzeźwo myślącej opinji zagranicznej zrehabilitować. Stosunek jego do wydarzeń i osób nowej ery jest często entuzjastyczny, a idzie tak daleko, że pan B. nie waha się gromić swoich współwyznawców, którym teraz dopiero bielmo spadło z oczu, podczas gdy on wraz z członkami dawnej partji krakowskiej nie zachwiał się we współdziałaniu z brygadjerem Piłsudskim w wielce ryzykownej akcji tworzenia siły zbrojnej wówczas, „gdy czyn ten przedstawiał 100 procent hazardu i gdy trzy mocarstwa zaborcze i olbrzymia większość społeczeństwa była przeciw niemu." Czy czasem pan B. w ferworze polemicznym nie przesadza trochę ilości przeciwników? Większość opinji i jedno mocarstwo — tak, ale przecież bez milczącej choćby zgody dwu innych mocarstw, istnienie jakiejkolwiek siły zbrojnej nie da się wprost pomyśleć. Nie zapomina również autor o jednym z wiernych sojuszników tego czynu zbrojnego, to jest o polskiej partji socjalistycznej „z łona bowiem socjalizmu polskiego wyszła pierwsza inicjatywa, która skrystalizowała się potem w legjonach, a w pewnej naturalnej konsekwencji i w piewszych rządach oswobodzonego państwa." Takie wspomnienia niewątpliwie łączą i obowiązują, to też ilekroć pan B. mówi o ogólnych sprawach państwowości polskiej i o ludziach, mających być jej wcieleniem, to w jego rozumowaniach nic nie kłóci się ze światopoglądem sfer lewicowych, a nawet przeciwnie, zdobywa się on na pewien odcień sympatji i sentymentu. Niema więc różnic, gdy idzie o posiadanie państwa, a wspólne ścieżki rozchodzą się w przeciwnym kierunku, gdy w grę wchodzi posiadanie prywatne, gdy na porządku dziennym stają sprawy chleba powszedniego. Wtedy autor nie zna pardonu dla swych dawnych sojuszników politycznych i z pod pióra jego płyną ostre słowa potępienia wszystkich radykalnych doktryn i socjalistycznych eksperymentów, zatruwających życie polityczne polskie i prowadzących kraj do nieuchronnej ruiny, a nawet upadku.

Jak już wyżej wspomniałem, nie jest winą autora, że wyważa poniekąd drzwi otwarte, że reformy, do których dąży, były oddawna przez szeroką opinję publiczną uznane, jako nieodzowne i konieczne. Uznając słuszność tez, stawianych przez autora, które w danym wypadku tchną duchem istotnego konserwatyzmu, nie możemy zgodzić się na niektóre metody jego rozumowania, a mianowicie, gdy bierze on za punkt wyjścia zachowawczej polityki gospodarczej jedynie własny interes jednostki.

P. B., stwierdzając z ubolewaniem fakt, „że nasze sfery gospodarcze tkwią jeszcze — z niewielu stosunkowo wyjątkami — w objęciach tychże samych partyj demagogicznych, które tak niedawno gotowały im zgubę", stara się przekonać je, że weszły na fałszywą drogę, gdyż — jego zdaniem — jedynem kryterjum działalności tych sfer powinien być dobrze zrozumiany interes własny.

Tę dość uproszczoną tezę rozwija autor w odrębnym artykule, którego szczerość graniczy — powiedzmy otwarcie — z cynizmem, pod wiele mówiącym tytułem „Gdzie twój interes?" Zdaniem autora, pytanie takie powinien postawić sobie każdy obywatel, pragnący wyzwolić się z narkozy haseł demagogicznych, a ponieważ „właściciel każdego majątku, czy warsztatu pracy, jest z natury rzeczy zachowawcą, bo pragnie w każdym razie zachować dla siebie to, co posiada, więc zwłaszcza wyższe warstwy powinny to zrozumieć i przyznać się jasno i otwarcie, co leży w ich prawdziwym interesie t. j. do zdrowego, oświeconego konserwatyzmu." Przedstawiciel klas posiadających, analizując pojęcie własnego interesu, dojdzie w dalszej konsekwencji do przeświadczenia, że interes indywidualny jest w istocie identyczny z interesami państwa, jako całości. Opierając się na powyższych przesłankach, stronnictwo Prawicy Narodowej stawia program tak zwanego „objektywizmu gospodarczego", oraz stworzenia frontu gospodarczego, który za punkt wyjścia wszystkich reform społecznych, politycznych i gospodarczych musi wziąć fakt, czy odpowiadają one podstawowym założeniom i interesom sfer wytwórczych, czy im się przeciwstawiają.

Może niezbyt ściśle sformułowałem ostateczne cele programu „objektywizmu gospodarczego", ale muszę się przyznać z pokorą, że pomimo zapewnień autora, iż w dalszej konsekwencji program ten rozstrzyga o mocarstwowem stanowisku państwa, położy kres wszelkim wywrotowym prądom, a nadto spowoduje fakt, że pod skrzydła Rzeczypospolitej, zapewniającej każdemu zadośćuczynienie jego interesom, garnąć się będą mniejszości narodowe w imię hasła ubi bene ibi patria — doprawdy, nie mogę zrozumieć, w jaki sposób dokona się ta cudowna metamorfoza.

Mam wrażenie, że istotna treść i ostateczne wnioski programu gubią się, jakby umyślnie, w gromkiej frazeologji i że w gruncie rzeczy jest tam coś niedopowiedzianego, czego świadomi rzeczy szukać muszą pomiędzy wierszami. Bowiem jest rzeczą jasną, że gdyby nawet te idee gospodarcze przeniknęły do bardzo szerokich sfer posiadających, to chyba największy optymista w łonie stronictwa Prawicy Narodowej nie łudzi się, ażeby stronnictwo mogło społeczeństwu narzucić swój program. Nie można przecież zapominać, — że użyjemy określenia pana B — o jedynym obecnie autorytecie w państwie, który w tej sprawie miałby niewątpliwie coś do powiedzenia. W tym wypadku „objektywizm gospodarczy" mógłby się zrealizować jedynie w drodze targu, czy kompromisu, dającego się streścić w formule następującej: z jednej strony uznanie pod pewnemi warunkami

zasad „objektywizmu“, a wzamian za to, w innych dziedzinach swoboda urządzania państwa według swoich specjalnych metod. Nie sądzę, aby Polska dużo zyskała na tej tranzakcji, w każdym razie, jej zagadnienie mocarstwowe aż do idei jagiellońskiej włącznie, trzebaby narazie wykreślić z programu stronnictwa Prawicy Narodowej. Ale i skutek praktyczny tej dość nieprawdopodobnej umowy byłby bardzo wątpliwy. Wszak istniały państwa, jak np. przedwojenna Rosja lub Turcja Abdul Hamida, w których interesy warstw posiadających były wcale nieźle uwzględnione, a nawet nasycone, a jednak skutkiem braku w tych gmachach jakichś niezbędnych cegiełek, rezultaty okazały się wprost katastrofalne. Dlatego obecne dyktatury zachodnie poważnie liczą się z temi naukami, płynącemi z niedawnej przeszłości i przeprowadzają swe z ducha konserwatywne reformy na zupełnie odmiennych podstawach. Nadto trzeba pamiętać, że uchwycenie istoty pojęcia interesu własnego nie jest tak łatwem, jakby się pozornie zdawało. Zawodzi ono w życiu prywatnem, bo inaczej nikt nigdy nie robiłby głupstw i każde przedsiębiorstwo ludzkie byłoby uwieńczone powodzeniem. Tembardziej w życiu publicznem, gdzie poszczególne ugrupowania nie składają się z fachowych ekonomistów, za własny interes uznaje się to, co jest najbliższe, a stąd powstaje cały szereg przeciwieństw pomiędzy grupami przemysłowców, rolników, kupców i rzemieślników, które, o ile nie są zcementowane jakąś ideą wyższą ponad interes własny, przeradzają się w ordynarną walkę o interesy swojego podwórka.

Ale największem niebezpieczeństwem hasła interesu własnego jest ta okoliczność, że raz postawione jako dogmat, staje się własnością wszystkich, a przedewszystkiem warstw, których radykalizm, oparty na koncepcji walki klas, przyczynił się i przyczynia głównie do sparaliżowania rozwoju państwa polskiego. Jest to fakt, przez wszystkich realnie myślących ludzi powszechnie uznany. Nie rozumiem więc, jak można piętnować ideę walki klas i wskazywać jej szkodliwość, gdy się samemu stawia interes własny, jako główny i jedyny bodziec działania na arenie życia publicznego. Trudno się dziwić, gdy za tem hasłem, zwłaszcza dla nieokrzesanych umysłów najlepiej zrozumiałem i ponętnem, pójdą najliczniejsze warstwy mało lub nic nie posiadające, a wtedy życie publiczne stanie się terenem walki wszystkich przeciwko wszystkim.

Przykładu takiej duchowej deprawacji narodu nie potrzebujemy daleko szukać. Przypomnijmy tylko ustrój przedwojennej Galicji, rozbitej na zwalczające się wzajemnie warstwy, dzielące się według stanów posiadania, ustrój, który zatruł pierwsze lata niepodległości i głównie przyczynił się do zabagnienia dzieła naszego narodowego odrodzenia. Dla tego, chociaż p. B. utrzymuje, że „Kraków był oddawna największą i najgłębszą krynicą, w której wytwarzała się i z której tryskała polska myśl państwowo-twórcza“, to jednak niech się nie dziwi, że do metod tej myśli społeczeństwo polskie razem ze swemi klasami posiadającemi, żywić będzie uzasadnioną nieufność. Propaganda Konserwatyzmu, prowadzona pod hasłem interesu własnego, nie przyczyni się bynajmniej do usunięcia tej nieufności, bo sama idea jest społecznie szkodliwa i pomimo pozorów realizmu, nierealna i niezgodna z życiem. Lubo w życiu nie da się zaprzeczyć, że stan posiadania wytwarza pewną psychikę zachowawczą, to przecież zjawiska tego nie można uważać za regułę, zawsze i wszędzie obowiązującą. Najdobitniejszem jej zaprzeczeniem są choćby znani multimiljonerzy socjalistyczni lub bankierzy, finansujący bolszewizm. Po za tem fakty życia realnego mówią nam, że poglądy polityczne czy dążenia społeczne są funkcją wierzeń, uczuć, charakterów, temperamentów i instynktów, z któremi człowiek rodzi się lub wychowuje, zachowując je w życiu bez względu na stan swego posiadania. Stąd możemy nieraz obserwować objawy dość dziwne, że np. rodziny robotników wiejskich czy miejskich świecą często przykładem zachowania wierzeń i tradycyj zachowawczych, gdy tuż obok bogaty chłop włókowy uprawia propagandę bolszewicką i entuzjazmuje się do wywłaszczenia bez odszkodowania. Zdarza się również, że zwyczajna kucharka ma więcej instynktów zachowawczych od swojej ubrylantowanej chlebodawczyni. Nie zapominajmy także o przedstawicielach zawodów wyzwolonych, drobnych rzemieślnikach i kupcach, którzy często, nie posiadając nic, albo bardzo mało, mogliby nauczyć niejednego rasowego konserwatystę, na czem polega prawdziwa idea zachowawcza. Całą tę kategorję ludzi program objektywizmu gospodarczego, oparty na doktrynie własnego interesu, zgóry wyklucza ze swych szeregów, a przez to dobrowolnie zmniejsza swoje wpływy, redukując kadry stronnictwa do małej grupki, z którą nikt się poważnie liczyć nie będzie, i która, ażeby istnieć, musi szukać oparcia gdzieś nazewnątrz. Niestety, to oglądanie się na czyjąś pomoc i protekcję jest jedną z niezbyt zaszczytnych tradycyj polskiego konserwatyzmu.

Istotnie, gdyby kto chciał w sposób poglądowy przedstawić jego dzieje, to mógłby wzorować się na szematach graficznych, wystawianych w oknach przedsiębiorstw podróży międzynarodowych, gdzie ruch pociągów czy statków, uwidoczniony płynnemi kolorowemi linjami, dąży z różnych stron świata, by skupić się w kilku punktach centralnych. Konserwatyzm nasz posiadał również stałe linje swego ciążenia. Wiele z nich przecięły granice, lecz te, które pozostały, płyną nieodmiennie ku tym centrom, gdzie rezydują władze. Jedynie w Poznańskiem wzięto kurs odwrotny. Tam, dzięki niebylejakim konserwatystom, Maksymiljanowi Jackowskiemu i księdzu Wawrzyniakowi z tego tak znienawidzonego przez pana B. Bazaru, o którym pisze on, „że wypowiedziano w nim walkę ojczyźnie aż do katastrofy“ — popłynęły ożywcze prądy do wsi i miasteczek, skutkiem czego dzielnica ta liczy dzisiaj o wiele więcej prawdziwych konserwatystów, niż całe stronnictwo Prawicy Narodowej z pepinierą krakowską włącznie. Gdyby inne dzielnice miały takich przedstawicieli idei zachowawczej, to może dziś nie potrzebaby było odradzać konserwatyzmu, bo tkwiłby on, tak jak w Poznańskiem, w rdzeniu duszy ludowej. Wtedy i zmora radykalizmu nie byłaby tak straszna, a konserwatyści, mogąc powołać się na rezultaty swej pracy, w niczem nie ustępowaliby tym bojownikom o ideę zachowawczą, którzy jak wandejczycy lub karliści, nie dla własnych interesów, lecz dla sprawy powszechnej walczyli. Również i w naszych dziejach moglibyśmy znaleźć przykłady wielkich obywateli kraju w osobach margrabiego Wielopolskiego i Andrzeja Zamojskiego, którzy, reprezentując dwa odmienne kierunki polityczne, byli obaj wyrazicielami najszlachetniej po-

łętej idei konserwatywnej. Ale i w naszych czasach, a nawet w ostatnich tygodniach, możemy stwierdzić walki ideowe, prowadzone przez konserwatystów. Oto np. p. Sanchez Guerro, przywódca hiszpańskich konserwatystów, zamieszany w spisek wojskowy, został osadzony w więzieniu. Nie mam zamiaru bronić spisków wojskowych i zbyt mało znamy stosunki hiszpańskie, abyśmy mogli wyrokować, kto w tym sporze ma rację. To jedno wiemy z całą pewnością, że generał Primo de Riviera nie jest radykałem i bynajmniej nie przeszkadza obywatelom pilnować interesów własnych. Stąd wniosek, że gdyby p. Sanchez Guerro w stosunku do markiza Primo de Rivera zastosował zasadę objektywizmu gospodarczego, to napewno nie spotkałaby go przykrość siedzenia w więzieniu. Należy zatem przypuszczać, że w walce pomiędzy tymi dwoma ludźmi odgrywają rolę jakieś pobudki wyższego rzędu, które nie pozwoliły p. Guerro zawrzeć kompromisu, jak przedtem nie pozwoliły jednemu z czołowych konserwatystów hiszpańskich przyjąć stanowiska prezydenta nowutworzonego parlamentu, które mu ofiarowywał dyktator. A jeśli w poszukiwaniu ideowych czynów konserwatyzmu zwrócimy nasz wzrok ku krajom, które nie znają przewrotów, to nie możemy powstrzymać się od przytoczenia szlachetnej i zgoła niezwykłej ofiary sira Stanley'a Baldwine'a, który zaraz po wojnie, w chwili, gdy skarb angielski znalazł się w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej, obliczył swoją fortunę na jakieś 600 tysięcy funtów sterlingów i piątą część tej sumy przesłał ministrowi skarbu Chamberlainowi na umorzenie długów państwowych. Zrobił to przytem z zastrzeżeniem poufności, skutkiem czego fakt ten stał się głośnym dopiero po upływie paru lat. Doprawdy szczęśliwy kraj, który ma takich konserwatystów. Wspominam o tem dla tego, że chciałbym na zakończenie moich wywodów zacytować jeszcze jeden ustęp z książki pana Bobrzyńskiego, w którym porzucając poziomą i niewdzięczną tezę interesu własnego, a nawet do pewnego stopnia przecząc samemu sobie, porusza on struny, dźwięczące bardziej idealnemi pobudkami i pisze: „Gruntowna przemiana tych tendencyj antypaństwowych na państwo twórcze, ofiarujące ojczyźnie wszystko bez targu, — oto pierwszy i fundamentalny warunek naprawy Rzeczypospolitej. I tę właśnie naczelną zasadę, tak pozornie prostą i jasną, ale tak przeciwną ideologji tych, którzy do niedawna Polską rządzili, stwierdzono przedewszystkiem na zjeździe w Dzikowie". Ponieważ, dzięki Bogu, sumienie mi nic nie wyrzuca, więc mogę spokojnie pominąć inwektywy, a przejść do twierdzenia głównego. „Oddać ojczyźnie wszystko bez targu" — to wielkie słowa!

Brzmi w nich gotowość na złą i dobrą dolę, niezłomność w czynie, ofiarność krwi i mienia, słowem ton najwyższego napięcia duszy ludzkiej. W słowach tych tkwi o wiele większe odrodzenie myśli konserwatywnej, niż we wszystkich frontach czy objektywizmach gospodarczych razem wziętych. Tylko czy tym górnym słowom odpowiedzą czyny? Nie chcę kwestjonować szczerości autora, a nawet przyznaję, że wiele ustępów jego książki drga głęboką wiarą w to, co autor do wierzenia podaje. Człowiek obcy, przeczytawszy te kartki, z wiarą i talentem pisane, mógłby rzeczywiście uwierzyć, że Polsce przybywa nowy hufiec niezłomnych bojowników za świętą sprawę. Ale ci, co trochę znają układ naszych sił społecznych i ci, co w doświadczeniach przeszłości czerpią wskazówki na chwilę dzisiejszą, ci nie mogą się pozbyć pewnych wątpliwości. Wiedzą oni, że grandilokwencja nie zawsze idzie w parze z wielkiemi czynami, a rzeczywista rzeczywistość, — że użyję modnego dziś wśród poiltyków określenia — różni się bardzo od rzeczywistości urojonej. Niestety, zestawienie promienych nadziei pana Bobrzyńskiego z szarą, codzienną rzeczywistością, daje nam pod tym względem aż nadto dobitne dowody..

Wystarczy np. porównać poniższe dwa ustępy: „Niechże powstanie z martwych potężna idea twórczego konserwatyzmu, idea odwagi cywilnej, decyzji i zorganizowanego, konserwatywnego czynu. Wschodzi ona już wszędzie bujnym posiewem na grobach fałszywych doktryn i kłamliwych ideałów, które zrodzić się mogły w długoletniej, deprawującej niewoli. Potrzeba odrodzenia na podstawie zachowawczej jest tak wielka, że — jak słusznie ktoś wyraził przy innej okazji — gdyby nawet idei konserwatywnej w Polsce nie było, to trzebaby ją stworzyć".

Ale ona jest, „żyje, tętni i czeka tylko hasła" Tak woła autor na stronicy 97-ej swej książki, tworząc jedynie rzeczywistość urojoną. Jakżeż odmiennemi tony brzmi rzeczywista!

Oto w dniu 19-ym czerwca 1928 roku dyskutowano w Sejmie nad sprawą zawieszenia postępowania sądowego, to znaczy, nie wydania sądom posła Ledwocha ze przemówienie wiecowe, z którego powtarzamy tylko główne ustępy: „W Polsce obecnie żadnej władzy niema, wojewody, starosty, ani policji słuchać nie potrzeba. Pilnować każdego policjanta i starostę, pilnować dworów i księży, aby się nie zbierali, a jeżeli się zbiorą, brać ich za mordę". A dalej: „Teraz wszystko jedno, czy maczać ręce w gnoju, czy we krwi. Teraz nadszedł czas, trzeba się brać. Jak sami sobie nie weźmiecie, to wam nikt nie da. Choćby najpiękniejszy pałac, nie powinien zostać kamień na kamieniu. Obecny porządek można zmienić tylko w ten sposób, że chłopi chwycą za kłonice i od największej władzy zaczną walić wszystkich przez pysk. Wówczas na gruzach dawnego ustroju wybuduje się nową Polskę".

Wniosek komisji o zawieszenie postępowania przeszedł wszystkiemi głosami przeciwko głosom Klubu Narodowego.

Gdzież byli wśród tej okropnej rzeczywistości rycerze, mający odrodzić z martwych potężną idee twórczego konserwatyzmu? Urzędownie głosowali wraz ze swym klubem za zawieszeniem postępowania, prywatnie usunęli się jakoby od głosowania. Jakkolwiek rzeczy się miały, trudno nie ubolewać nad temi nowemi metodami obrony okopów Ś-tej Trójcy, które z ideologją Hrabiego Henryka dalibóg nic nie mają wspólnego.

MARJAN KINIORSKI

OD WYDAWNICTWA. Prosimy o odnowienie przedpłaty na kw. II i uregulowanie zaległości. Konto nasze w P.K.O. ma numer 3.105.

KSIĄŻKA O STANACH ZJEDNOCZONYCH

ZNAJOMOŚĆ dziejów najpotężniejszego dziś mocarstwa w świecie, Stanów Zjednoczonych, jest w Polsce bardzo słaba. Przyczyny tego należy dopatrywać się między innemi również w samej nauce historji, która rozpatrując dotąd zjawiska dziejowe z europejskiego punktu widzenia, wpadła w pewną krańcowość, traktując po macoszemu dzieje narodów i kultur pozaeuropejskich. Dopiero potężny wpływ polityczny, jaki od pewnego czasu wywierają Stany Zjednoczone na stosunki Starego Świata, zmusił historjografję europejską do należnego zainteresowania się historją narodu amerykańskiego.

Wyrazem tego zainteresowania są liczne wydawnictwa historyków francuskich, angielskich i niemieckich, a w historjografji polskiej, świeżo wydana książka prof. A. Szelągowskiego p. t. „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. U. S. A. Tworzenie państwa i konstytucji“ [1]). Przedstawił w niej autor interesujący obraz narodzin narodu amerykańskiego, obraz tem bardziej wyjątkowy, że normalnie, tworzenie się narodu tkwi w niedostępnych dla naukowego, historycznego badania, „dziejach bajecznych“. Swoje centralne zainteresowanie zwrócił prof. Szelągowski, nie na to niezwykle interesujące zjawisko, ale na formy prawne, jakie przyjmował naród amerykański, t. j. na tworzenie państwa i konstytucji z r. 1787, która, jak wiadomo z nielicznemi zmianami przetrwała po dziś dzień. Wydaje się, że to przeniesienie głównej uwagi autora na państwo i konstytucje nie jest przypadkowe. Autor uległ tu najwidoczniej pewnym dzisiejszym tendencjom politycznym, szukającym n. p. wzorów do naprawy konstytucji polskiej w konstytucji Stanów Zjednoczonych, wyboru ludowego prezydenta i t. d. i pod wpływem tych tendencyj dał obraz walki o państwo i konstytucję, poszukując ustawicznych analogij do dzisiejszych stosunków w Polsce. Należy wątpić, czy wyszło to książce na dobre.

Ta część książki, która obrazuje walkę o niepodległość aż do zawarcia traktatu paryskiego z Anglią w r. 1783, nie wychodzi w zasadzie poza wyniki dotychczasowych badań. Natomiast obraz walki o konstytucję, oparty na bogatym materjale źródłowym, jest interesujący i pouczający. Autor widzi wiele analogij między konwencją amerykańską a zgromadzeniem narodowem wielkiej rewolucji francuskiej i naszym sejmem czteroletnim. O ile na to godzimy się bez zastrzeżeń, o tyle trudno jest nam przyjąć porównanie stosunków amerykańskich (1776 — 1787) z dobą odbudowy Państwa Polskiego (str. 155 i inne). Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że na pierwszy rzut oka, znajdziemy tu i tam wiele podobieństw, jak kryzys ekonomiczny, etyczno-moralny, walki partyjne i t. d., ale w gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z dwoma różnemi stadjami rozwojowemi. Stadjum rozwoju historycznego narodu amerykańskiego z r. 1787 jest nieporównanie młodsze od stadjum, w jakiem się znalazł naród polski w r. 1918. W Polsce żył naród, posiadający dawną tradycję historyczną bytu państwowego i całą swą świadomością walczył on o odzyskanie dawnej egzystencji państwowej. W Ameryce była to dopiero chwila narodzin narodu, idee zjednoczenia i niepodległości schodziły na plan drugi, wobec idej równości i wolności.

Obywatele poszczególnych stanów poczuwali się do narodowości anglo-saskiej i dopiero pod wpływem zatargu z macierzą, nastąpiło uświadomienie poczucia wspólnoty amerykańskiej, z którego z kolei rzeczy zrodziło się pojęcie jedni narodowej. W Polsce dążenie do niepodległości nie było przecież wymierzone przeciw odłamowi tego samego narodu, ale przeciwko trzem mocarstwom zaborczym, które żyjącemu narodowi odebrały były byt państwowy.

Ponadto zaś odrodzenie Polski w r. 1918, to nawiązanie do dawnych wielkich jej tradycyj historycznych, do Polski Chrobrych, Batorych, Sobieskich, do Polski, która po nieszczesnej pamięci dobie anarchicznych czasów saskich, miała swoją chlubną kartę sejmu czteroletniego. Stany Zjednoczone w r. 1787 wstępowały dopiero w dzieje, wprawdzie nieobciążone błędami, popełnionemi przez przodków, ale też pozbawione wspólnej historycznej tradycji ubiegłych pokoleń.

Względy powyżej przytoczone zdają sie wykluczać przeprowadzenie jakiejś głębszej analogji pomiędzy temi dwiema odmiennemi całkiem epokami.

Na marginesie dziejów demokracji amerykańskiej prof. Szelągowski wypowiada szereg ciekawych myśli, dotyczących genezy i istoty obecnej demokracji. Trudno tu jednak bez zastrzeżeń pogodzić się z poglądem autora (str. 11), który podnosi demokrację do rzędu religji „ludów Zachodu“, mającej swoje wierzenia, eschatologię i metafizykę, chyba, że prof. Szelągowski słowa religja użył w znaczeniu przenośnem.

Z gruntu niesłuszna admonicja spotkała w omawianej książce historjografię polską, którą zgromił prof. Szelągowski za 1) potępienie polskiego rokoszu i konfederacji (str. 96, 166), 2) negatywne stanowisko wobec elekcji viritim (str. 210), 3) za rzekome „legitymizowanie swych walorów konstruktywnych dla państwa współczesnego polskiego wprost wskazaniami z czasów niewoli i trójlojalizmu“ (str. 211).

Jeżeli historycy polscy odnieśli się do konfederacji i rokoszu jako form ustrojowych krytycznie, to nie dlatego, ażeby nie doceniali, iż w pewnych specyficznych warunkach mogą być one formami zapładniającemi ożywczo organizm narodowy, ale ponieważ formy te na gruncie polskim zwyrodniały i stały się oznakami choroby trawiącej parlamentaryzm polski. Nie ulega wątpliwości, że choroba taka była tem niebezpieczniejsza, że n. p. w XVIII w., otaczające Rzeczpospolitą państwa, były silniej niż ona zmontowanemi organizmami. Skoro zatem nawołuje prof. Szelągowski do nawiązania obecnego prawa konstytucyjnego „do myśli prawnej historycznej polskiej“ (166), to chyba takiej myśli, która potępi te symptomaty choroby ustroju Rzeczypospolitej, jakiemi były konfederacja i rokosz.

Podobnie omawiając wpływ, jaki miała na twórców konstytucji ameryk., elekcja „viritim“ w Polsce, którą nawiasem mówiąc wysuwano częściej jako argument przeciw ludowej elekcji prezy-

[1]) Warszawa 1929. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

denta w Stanach, prof. Szelągowski atakuje poraz wtóry historjografję polską, tym razem, za potępienie elekcji „viritim“, uważając, iż jedynie w „ujęciu i wykonaniu“ a nie w „zasadzie“ była ona godna potępienia.

I tym razem autor wybija otwarte drzwi. Historjografja polska bezstronnie zbadała wszelkie dodatnie i ujemne strony elekcji „viritim“ i nie przeczy, że przyniosła ona również pewne zdrowe ideje, jak np. silniejsze związanie Polski z Litwą, zachwianie protestantyzmu polskiego i t. d. Wszystko jednak, co służy dla celów życiowych, przedewszystkiem musi zdać egzamin praktyczny. Zasada „viritim“ zdała go najfatalniej. Wzrosły przez nią: demagogja, partyjnictwo i przedajność, nastąpiło obniżenie autorytetu państwa nawewnątrz i nazewnątrz, decentralizacja niebezpieczna dla siły i odporności narodu.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę tu głos jednego z najwybitniejszych znawców tego zagadnienia prof. W. Sobieskiego, który tak charakteryzuje wartość życiową elekcji „viritim“: „Gdybyśmy... chcieli zrobić ogólny bilans skutków, sprowadzonych przez elekcję viritim, to trzeba skonstatować, że o niebo całe przewyższają ujemne nad dodatnimi i że mało która zasada wprowadzała tyle klęsk, jak ta. Całe następne dzieje Rzpltej — aż do jej końca były pasmem smutnych doświadczeń tych skutków“ [1]).

Sądzę, że jest to jasne i przekonywujące. Powoływanie się na rezultaty tego systemu w Stanach, nie uprawnia zatem do wyciągania aż tak daleko idących wniosków i dowodzi jeszcze raz, że analogje historyczne można przeprowadzać jedynie bardzo ostrożnie i krytycznie.

Z zarzutem trzecim, jako, że niczem niepopartym, trudno polemizować.

Mimo jednak, że tu i ówdzie, szczególnie w dziedzinie wysuwanych przez autora analogij, trudno nieraz z nim się pogodzić, omawiana książka spełni swe zadanie, informując społeczeństwo polskie o najważniejszym okresie życia narodu amerykańskiego.

Na zakończenie swej książki podał prof. Szelągowski, pełny tekst, angielski i polski, konstytucji Stanów z 17. IX. 1787, wraz ze wszystkiemi poprawkami, poczynionemi przez kongresy, aż do chwili obecnej. Zainteresuje ona też dlatego nietylko historyka ale i prawnika.

KAZIMIERZ LEPSZY

[1]) W. Sobieski: Trybun ludu szlacheckiego, str. 187.

EDMUND BURKE

(1729 — 1797)

DWUNASTEGO stycznia b. r. upłynęło lat dwieście od przyjścia na świat Edmunda Burke'a, największego angielskiego mówcy i pisarza politycznego. Jego działalność była tak wszechstronna i tak ściśle splatała się z dziejami W. Brytanji w drugiej połowie w. XVIII, że zbyt trudno zawrzeć ją w ramach jednego artykułu. Wobec tego ograniczę się do rzeczy najważniejszych i najcharakterystyczniejszych. Dla uplastycznienia postaci i poglądów Burke'a będę starał się o ile możności operować jego własnemi słowami. Może pokaże się przytem, że szereg zagadnień z przed lat stu pięćdziesięciu niezupełnie jeszcze utracił aktualność, przynajmniej dla narodów, młodszych, niż angielski, przeżywających właśnie *mutatis mutandis* okresy, które tamten dawno pozostawił poza sobą.

Ojciec Burke'a pochodził z rodziny angielskiej, dawno osiadłej w Irlandji, matka była Irlandką i katoliczką. Edmund po ojcu został anglikaninem, ale przez całe życie miał sentyment do katolicyzmu, srodze wówczas w W. Brytanji gnębionego przy pomocy wyjątkowych ustaw, których zniesienia domagał się kilkakrotnie w parlamencie. Zdawał też sobie wogóle sprawę z okropnego ucisku tubylców irlandzkich i często występował w ich obronie.

Burke wszedł w życie polityczne jako człowiek dojrzały, z gruntownem wykształceniem — przedewszystkiem prawniczem, ale obejmującem najrozmaitsze inne dziedziny. Mówiono o nim, że zna się na wszystkiem prócz dwóch rzeczy, mianowicie kart i muzyki.

Rzecz znamienna, że pierwszy jego utwór był wymierzony przeciw deizmowi Bolingbroke'a, którego poglądy religijne Burke przeniósł w sferę polityczno-społeczną i sprowadził tym sposobem do absurdu. „Obrona społeczeństwa naturalnego“ stanowiła tak świetną mistyfikację, że nie tylko współcześni widzieli w niej pośmiertne dzieło Bolingbroke'a, ale jeszcze wiek XX przyniósł próbę przedstawienia broszury jako napisanej na serjo i zestawiającej wybornie zasady anarchizmu. Dwie dalsze broszury, napisane już po wejściu Burke'a do parlamentu, zwracały się głównie przeciw maskowanemu absolutyzmowi Jerzego III, który zapragnął rządzić przy pomocy t. z. przyjaciół królewskich, ślepo sobie oddanych. Zachowano fikcję parlamentaryzmu, ale parlamentowi narzucono wolę monarszą, kupując stale większość — bądź to za gotówkę, bądź za synekury. Szła na ten cel cała lista cywilna i szedł cały szereg pozycyj budżetu, które niewtajemniczonemu przedstawiały się zupełnie niewinnie.

Tak to Jerzy urzeczywistnił myśl rządów osobistych monarchy, rzucona przez Bolingbroke'a w sławnym „Ideale króla patrioty“. Dawny minister, napróżno marzący o powrocie do władzy, wyrażał się tam był z przekąsem o partjach i żądał postawienia nad niemi woli monarszej jako czynnika rozstrzygającego. Stąd Burke, członek grupy wigów, nie dotkniętej prawie powszechną korupcją, uznał za stosowne sformułować określenie stronnictwa politycznego. Jest to „zastęp ludzi, złączonych w tym celu, aby wspólnemi wysiłkami popierać interes narodu wedle pewnej szczególnej zasady, na którą zgadzają się wszyscy. Mają dążyć godziwemi środkami do rządu. Bez proskrybowania innych są obowiązani do uwzględniania we wszystkich sprawach na pierwszem miejscu własnej partji“. Nie wolno im żadną miarą z pobudek osobistych przyjmować jakichkolwiek propozycyj władzy, którebу nie obejmowały całej grupy. „Taka szlachetna walka o rządy, opierająca się na tak męskiej i uczciwej teorji,

łatwo da się odróżnić od nędznych i interesownych zmagań o stanowiska i zyski".

W działalności Burke'a w Izbie Gmin wybijają się na pierwszy plan trzy wielkie sprawy, które można określić jako amerykańską, indyjską i francuską — t.j. starania o pokojowe załatwienie zatargu z kolonjami, kampanja przeciw gwałtom i zdzierstwom wielkorządcy Indyj, Warrena Hastingsa, wreszcie walka przeciw ideologji wielkiej rewolucji i jej zwolenników na gruncie brytyjskim.

Zatarg z kolonjami, wywołany krótkowzrocznym uporem Jerzego III, a zakończony sromotną klęską Anglji i ich utratą, zbyt jest znany, aby go tu kreślić. Mowy Burke'a, wypowiedziane z tego powodu, należą do najsławniejszych i odznaczają się obfitością głębokich myśli. Tłumaczył on zaślepionym zwolennikom króla, że nie można liczyć na to, aby Amerykanie zlękli się gróźb, szykan i przemocy — wszakże są Anglikami z rodu, więc wzrośli w tradycjach i kulcie swobód obywatelskich. „Użycie siły jest tylko czasowe". Może poskutkować, lecz wnet przyjdzie chwila, że trzeba je będzie powtórzyć, a „narodem nie rządzi się przez ciągłe powtarzanie podboju". Przestrzegał też Burke przed ryzykiem. „Tam, gdzie idzie o dobro kraju, bojaźliwość jest heroiczną cnotą". Rzecz znamienna, że nie wdawał się wcale w kwestję, czy Anglja ma prawo nakładania podatków na kolonje. Brał rzecz z praktycznego punktu widzenia, a nie uznawał „metafizycznych rozróżnień". Jak się wyraził, „nienawidził nawet dzwięku tych słów".

Mimo niepowodzenia wysiłków Burke'a popularność jego rosła i podczas wyborów w r. 1774 Bristol, drugie miasto w Anglji, oddał mu swój mandat. Warto przytoczyć ustęp z mowy, w której wielki człowiek dziękował za wybór, gdyż rzuca ona światło na jego wyobrażenia o obowiązkach parlamentarzysty:

„Parlament nie jest kongresem ambasadorów od różnych, a wrogich sobie wzajemnie interesów, których każdy z nich musi bronić jako agent i adwokat przeciw innym agentom i adwokatom... Jest zgromadzeniem radzącem jednego narodu z jednym tylko interesem, interesem całości. Tam rozstrzygać muszą nie miejscowe cele, nie miejscowe uprzedzenia, ale dobro powszechne, określone przez powszechną mądrość".

Jeszcze przed końcem wojny amerykańskiej odniósł Burke wielki triumf, gdyż uchwalono jego plan oszczędności budżetowych. Szło mu zarówno o odciążenie państwa, jak o zatamowanie, choćby częściowe, źródła korupcji. Jak dowiadujemy się z dotyczącej mowy, poprzednia próba tej reformy rozbiła się o fakt, że jeden z członków Izby Gmin był... kuchcikiem królewskim (t. j. brał z tego tytułu pensję). Zupełne uzdrowienie stosunków nastąpiło w pół wieku później, ale od zwycięstwa Burke'a w r. 1780 datowała się ich poprawa. Dał on zresztą i sam przykład bezinteresowności, bo gdy wskutek niepowodzeń militarnych w Ameryce wigowie przyszli na jakiś czas do władzy i oddali mu urząd płatnika wojsk, zmniejszył własną pensję i wyrzekł się nieprawych dochodów, które jego poprzednikowi dały były pół miljona funtów.

W sprawie Warrena Hastingsa Burke przeparł oddanie wielkorządcy pod sąd parów, lecz tam wygrać było niepodobieństwem. Hastings popełnił niewątpliwie dużo gwałtów i bezprawi, ale plony z nich zbierała nienasycona Kompanja Indyjska, a on sam nie zrobił majątku, zresztą położył takie zasługi, że po uwzględnieniu plusów i minusów musiano go uniewinnić. Atoli trudy Burke'a w ciągu olbrzymiego, z górą ośmioletniego procesu nie poszły na marne, gdyż stosunki indyjskie poprawiły się znacznie i gospodarka tamtejsza oparła się na nowych podstawach.

Dzięki swej nadzwyczajnej bystrości Burke przewidział był wynik zatargu i wojny z kolonjami północno-amerykańskiemi. Ta jego zdolność przewidywania nabiera w stosunku do spraw francuskich charakteru jasnowidzenia, które jednak płynęło jedynie ze znajomości dziejów, natury ludzkiej i stosunków. Nasłuchawszy się w r. 1773 (a więc na lat szesnaście przed wybuchem rewolucji) w salonach literackich Paryża ateistycznych i materjalistycznych teoryj encyklopedystów, zawołał Burke wkrótce potem w jednej w mów parlamentarnych: „Najokropniejszy i najsroższy cios grozi cywilizowanemu społeczeństwu ze strony ateizmu... Widzę już chwiejący się pod ciosami tych ludzi szereg podpór dobrego rządu; widzę rozszerzane zasady, które nie dopuszczą nawet tolerancji dla religji". Słowa te sam uważał za prorocze i z niepokojem oczekiwał spełnienia się swych obaw. Gdy wybuchła rewolucja, fanatycy demokracji w rodzaju Paine'a, Priestley'a, Price'a, Godwina i poety-malarza Blake'a uważali ją za konsekwentny rozwój zasad powstania amerykańskiego, za początek nowej ery, w której wilk pasłby się obok baranka, w której nie byłoby prawa, ani kary a panowałaby zupełna równość. Burke, choć wig z przekonań, choć tak gorąco popierał był Amerykanów, odrazu usłyszał złowrogie trzeszczenie porządku społecznego. Przejmował go grozą zapał angielskich zwolenników jakobinizmu. Zdawał sobie doskonale sprawę, że w działalności francuskich reformatorów za dużo jest frazesów i doktrynerstwa, za mało twórczej mądrości. Widział ideał w zasadach bezkrwawej rewolucji angielskiej z r. 1688, która w miejsce usuniętej tyranji wprowadziła rządy prawa i rozsądku.

Wedle ogłoszonych w r. 1790 „Uwag o rewolucji francuskiej" Burke'a, za Kanałem La Manche „za cenę zbrodni kupiono nędzę". Twórcy przewrotu „znaleźli karę w swem powodzeniu, w obaleniu ustaw i trybunałów, w osłabieniu przemysłu, w konaniu handlu". „Umiejętności zbudowania państwa, odnowienia lub zreformowania go, jak żadnej umiejętności, polegającej na doświadczeniu, nie można nauczyć się *a priori*... Nie pojmuję—mówi dalej Burke —jak człowiek mógł wznieść się do takiego stopnia zarozumiałości, aby uważał kraj swój jedynie za białą kartę, na której może pisać, co mu się podoba... Dążność do zachowania i zdolność poprawiania rzeczy istniejących, razem wzięte, dają dla mnie ideał męża stanu." To zdanie stało się podstawową tezą neokonserwatyzmu angielskiego — wypowiedział je zaś wig nie torys.

Omawiając konfiskatę dóbr kościelnych, Burke trafnie sprowadza ją do kwestji ekonomicznej i widzi tu zwycięstwo interesów kapitalistycznych nad agrarnemi. Wogóle analizuje świetnie, a dokładnie wszelkie instytucje, wprowadzone przez rewolucję, ale te rzeczowe ustępy przeplata wybuchami uczucia, jak słynna tyrada na cześć honoru rycerskiego, zanikającego w czasach „rachmistrzów i ekonomistów". Pod koniec „Uwag" spotykamy znów coś, jakby proroctwo: „Pośród słabości jednego rodzaju władzy i falowania innych, oficerowie armji przez pewien czas pozostaną niesforni i podzieleni na partje, aż jakiś popularny jenerał, znający się na sztuce jednania sobie żołnierstwa, a posiadający prawdziwego ducha dowodzenia, ściągnie na siebie wszystkie oczy. Armje będą go

słuchały przez wzgląd na niego samego" (a nie na państwo). „W takim stanie rzeczy niema innej drogi do zapewnienia dyscypliny wojskowej. Ale w chwili, gdy do tego dojdzie, osoba, która rzeczywiście dowodzi armją, będzie waszym panem". Jak Napoleona, przewidział Burke i fatalne skutki inflacji.

Ostre wystąpienia przeciw rewolucji musiały doprowadzić Burke'a do zerwania ze stronnictwem wigów. Dnia 6 maja 1791 nie istniejący dziś już gmach parlamentu angielskiego oglądał najbardziej dramatyczną scenę, jaka rozegrała się w jego murach. Aktorami byli Burke i Fox, najwięksi mówcy swej ojczyzny, oraz Pitt młodszy, jeden z jej największych ministrów, na galerjach płakano, a i członkowie Izby byli głęboko wzruszeni, gdy Burke wspomniał o dwudziestu pięciu latach przyjaźni i współpracy, lecz stwierdził, że przyszło wybierać między stratą zasad a stratą przyjaciół, więc wybrał i spełnia obowiązek, a następnie zwrócił się do Foxa i Pitta z wezwaniem, aby w każdym razie starali się ocalić konstytucję.

Odtąd pozostał we „wspaniałem odosobnieniu", lecz wywierał wpływ coraz większy. Niewątpliwie jego to stanowisko głównie rozstrzygnęło o dwudziestu z górą latach polityki angielskiej, którą uwieńczyło zwycięstwo nad Napoleonem. Mowy i pisma Burke'a u schyłku życia wpadają często w ton zbytniej gwałtowności, ale pozatem pełne są rozsądnych myśli i zdrowych zasad. Tak np. „List do członka Zgromadzenia Narodowego" mieści uwagę, że Anglja i Francja powinny były zapobiec pierwszemu rozbiorowi Polski, który był groźnym precedensem. A oto inna uwaga, godna starego, wytrawnego parlamentarzysty:

„Jest dylemat, którego nie może uniknąć żadna opozycja przeciw zwycięskiej nieprawości. Jeżeli jesteście spokojni i milczycie, uważają was za wspólników w krokach, na które zgadzacie się milcząco. Jeżeli stawicie opór, oskarżają was, że prowokujecie drażliwą władzę do nowych wybryków. Postępowanie partji pokonanej nigdy nie wydaje się słusznem, a przynajmniej nie może ono posiadać jedynego dla tłumów nieomylnego kryterjum mądrości, mianowicie powodzenia".

Złych rządców porównywa Burke z lekarzem szarlatanem:

„Naród choruje, ciężko choruje z ich leków. Lecz szarlatan mówi mu, że niema rady na to, co się stało— że środek zażyty i trzeba cierpliwie czekać jego działania — że pierwsze skutki są rzeczywiście nieprzyjemne, ale sama choroba stanowi dowód silnego działania dozy — że ciało musi przez cierpienie dojść do zdrowia".

Trudno mi tu wdawać się w szczegółową charakterystykę Burke'a. Jego genjalne zdolności wynikły zapewne ze skrzyżowania dwóch ras, anglosaskiej i celtyckiej. Łączy on w sobie dodatnie rysy jednej i drugiej. Nigdy nie jest powierzchowny, schodzi do głębi opisywanych faktów, zadziwia ścisłością i drobiazgowością. Droga jego prowadzi zawsze od poszczególnych zjawisk i wypadków do uogólnień. A jednak w ten świat realny wnosi Burke pierwiastek potężnej wyobraźni. Żywość jego umysłu jest irlandzka. Żeden czystej krwi Anglik nie potrafiłby tak przerzucać się od prozy dydaktywnej, naszpikowanej statystyką, do poetycznych wzlotów. Lektura Burke'a jest pełna niespodzianek, to „falern i kawał powszedniego chleba". Nauczyć się z niej można bardzo dużo. Nigdy może tak dobrze, jak przy niej, nie odczuwa się wielkiej prawdy, że minione dzieje i teraźniejszość są wielką jednością, bo człowiek pozostaje zawsze ten sam, a rozwój ludzkości to organiczny proces, w którym każdy fakt wynika konsekwentnie z poprzedzających.*)

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

---

*) Artykuł niniejszy opiera się — miejscami dosłownie— na rozdziale o Burke'u w książce „Historja literatury angielskiej od Swifta do Burnsa", która w najbliższym czasie ukaże się nakładem firmy wyd. Jakubowskiego we Lwowie.

POWRÓT

1.

Na widnokręgu bór
W słońcu, czy we mgle stoi.
Ten sam cierpliwy wtór,
Co się tu zawsze stroi
Waszym snom — męce mojej.

Tu senność waszych dróg,
W górze, gdzie otchłań głucha,
Gwiazdy — i Ojciec Bóg,
Co waszych głosów słucha
W imię Syna i Ducha.

Nie wam niepokój dan,
Którym drżą błędne ptaki,
Gdy stworzył dla was Pan
Gwiazd wracających szlaki...

2.

Niech nie śpi człowiek czujny — niech zaśnie bezpieczny...
Wy wszyscy, co żyjecie tu, niech los wam sprzyja,
Niech w górę dąb się krzepi — niech spłonie lilija —
Niech chwile wam splatają się w polot taneczny.

Ale serce przybysza jest zgroza i trwoga.
Licząc żelazne czasu kroki, jest jak rana.
Nad złotemi polami żniwa ołowiana
I ruda chmura ciągnie, daleki cień Boga.

Jak boli, gdy już straszy wezbraniem krwi świeżej
Kwiat o wschodzie, śmiech dziecka u wiejskiej polepy:
Sercem widzi i słyszy człek głuchy i ślepy:
Grom, huczący otchłanią czeka — i uderzy.

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

LIBERUM VETO

Uczczenie wielkiego obywatela i przywódcy narodu. — Bezprawne ułaskawienia. — Partacki demokratyzm. — Humor o sanacji. — O czem wszyscy wiedzą. — Wspaniały okólnik ze spóźnioną datą. — Powojenni bohaterowie.

CZESI uczcili bardzo uroczyście 79-tą rocznicę urodzin swego prezydenta. Nie był to obchód wrzaskliwy, komedyjny, jak galówki rosyjskie, nakazywane przez rewirowych lub nowopolskie, wymuszone okólnikami, mieszające bałwochwalstwo ze służalstwem, nie był on wschodniem biciem łbami o posadzkę, ale szczerym wylewem uczuć czci i miłości całego społeczeństwa. Bo też Massaryk rzeczywiście na taki hołd zasłużył. Prawdziwie zabiegał o wywalczenie lub wyjednanie niepodległości dla swego narodu, a nadewszystko prawdziwie go kocha i prawdziwie umie nim rządzić. Myśliciel głęboki, gruntownie obeznany z zagadnieniami polityczno - społecznemi, charakter czysty, niezdolny do jakiejkolwiek nieprawości, niedostępny dla intrygi i hazardowej gry posiadaną władzą na własny rachunek, nieotoczony żadną służalczością i znikczemniałą kliką, w wielkości swej skromny, niestawiający sam sobie pomników i bram triumfalnych, a otrzymujący je od społeczeństwa, słowem, mędrzec, uczciwiec i patrjota, jest wspaniałym wzorem kierownika państwa, którego cały świat szanuje, którego rodacy wielbią i miłują. Szczęśliwe Czechy! To też z jaką wiarą, radością i powodzeniem idą w przyszłość!

H. Konic w swojem uzupełnieniu obecnej konstytucji, o którem mówiłem w przeszłym feljetonie, zamieścił zmieniony paragraf o władzy prezydenta w takiem brzmieniu: „Prawo darowania i złagodzenia kary, skutków skazania oraz prawo umorzania postępowania przed prawomocnem wyrzeczeniem kary służy w poszczególnych przypadkach Prezydentowi Rzeczypospolitej. Nie dotyczy ono jednak spraw, prowadzonych z prywatnego oskarżenia, oraz spraw dyscyplinarnych“. Jest to zmiana bardzo ważna, bo ochraniająca prawo już nietylko obywatela, ale człowieka. Naczelnik państwa może przebaczać szkody, wyrządzone państwu, bo jest jego przedstawicielem i pełnomocnikiem. Ale jakaż racja może go upoważniać do darowywania szkód, wyrządzonych jednostce? Ktoś kogoś zniesławi, okradnie z szacunku i mienia, shańbi mu córkę, okaleczy syna, doprowadzi go do nędzy i rozpaczy, tego krzywdziciela może ktoś inny ułaskawić bez zgody skrzywdzonego? Gdzież tu jest sprawiedliwość? Jeżeli weźmiemy logicznie ten przywilej władzy, to wypadnie, że naczelnik państwa może darowywać również długi, należności z oszustwa, przywłaszczenia, gwałtu i t. d.

W wielu wypadkach byłoby to daleko mniejszem wkroczeniem w prawa osobiste obywateli, niż darowanie kary za krzywdę moralną. Przecie chyba wolelibyśmy, ażeby nasz dłużnik był uwolniony od obowiązku zwrócenia nam 1000 zł., aniżeli żeby za obcięcie nam ręki lub publiczne znieważenie, był uwolniony od kary. Jestem przekonany, że Massaryk nie życzyłby sobie posiadania lub korzystania z takiego prawa łaski. Po najradykalniejszych pomysłach demokracji błąka się ciągle duch starych samowładców, od którego ona nie może się wyzwolić. Burzycielom tronów zdaje się, że gdy zamiast nich postawią dla siebie zwyczajne krzesła, które wyścielą aksamitem i ozdobią złotem, a zamiast koron, włożą ugalowane czapki, to sprawili skromne siedzenia i proletarjackie nakrycia głowy, niczem nieprzypominające królewskich. Tymczasem są to również trony i również korony, różniące się od dawnych tylko nowym stylem.

Przyznać trzeba, że monarchizm był szczerszy i rzetelniejszy, podczas gdy nowoczesny republikanizm jest obłudny i pod kłamliwymi pozorami kryje upodobania i dążenia samowładcze. Wyrzucać z ust rakiety radykalne bardzo łatwo, ale być prawdziwym demokratą bardzo trudno. Dzisiejszy Brutus zabija Cezara po za sobą, ale pielęgnuje go w sobie. Czy historja zna tyranję równą „wolności“ obecnych czerwonych zbawców świata?

To też sromotnie poturbowaną sanację, która ubrała się w demokratyczną kapotę z monarszą podszewką, zabija już nietyle coraz szerzej rozpościerająca się w społeczeństwie zgroza, ile szyderstwo. Złośliwy humor wyprawia sobie uczty z jej śmieszności. Codzień rodzi się na jej rachunek jakiś dowcip, jakaś anegdota, jakieś kpiny. Ile już tych ostrodziobych ptaków wyfrunęło w świat z szyderczym gwizdem na rozmaite tajemnice, niezakończone śledztwa, niewykrycia winnych, na przekroczenia budżetu, na konieczności państwowe, na wysokie rachunki przedstawicieli radosnej twórczości w restauracjach, na podróże dyplomatyczne i wogóle na to, co się urągliwie nazywa się „sanacją“. Włożyła ona maski, zamknęła się w żelazno-betonowym drapaczu nieba o kilkudziesięciu piętrach z zaryglowanemi drzwiami i zasłoniętemi oknami, a mimo to, ściany tego gmachu stały się przezroczyste i wszyscy z ulicy widzą, co się w nim dzieje.

W sejmie rozgrywa się obecnie smutno wesoła farsa: domaga on się jasnej i szczegółowej odpowiedzi rządu, na co wydano bezprawnie poza budżetem 500 miljonów złotych, gdy tymczasem poseł Krzyżanowski woła: „Wszyscy wiemy!“, a Izba się śmieje. Bo chodzi tylko o to, ażeby rząd własnemi ustami wypowiedział to, co wszyscy wiedzą, a on nie może tego uczynić, bo „nabrał wody w usta“.

Z nadużyciami zbiorowemi dzieje się zwykle tak, jak z robotami szydełkowemi: dość rozwiązać jedno zadzierzgnięcie i pociągnąć nitkę, ażeby się spruła cała tkanina. Tem pierwszem rozwiązaniem było oskarżenie ministra skarbu. Sejm ciągnie nitkę dalej i cała „radosna twórczość“ rozłazi się we wszystkich swoich oczkach i węzełkach. Przerażona tym nieoczekiwanym wypadkiem sanacja ucieka się do środka, który przed trzema laty byłby znakomitym i skutecznym, a który dziś, po ujawnieniu półmiljardowego przekroczenia budżetu, wywołuje w całem społeczeństwie (minus ona) .....„krótkie spięcie“ zdumienia lub humoru. Ogłoszony bowiem został okólnik, który zapowiada, że na przyszłość *pod żadnym warunkiem* poza wypadkami klęsk elementarnych, nie będą mogły być przekraczane kredyty, ustalane budżetem i że ministerstwo skarbu żadnych takich wniosków *nawet rozpatrywać nie będzie*. Nie będzie również uwzględniało *żadnych faktów dokonanych*, a w szczególności *zarządzeń*, wydanych *przez poszczególne organy urzędowe*, a powodujących nieprzewidziane w budżecie wydatki, a za zobowiązania, zaciągnięte w ten sposób, *odpowiadać będą osobiście* urzędnicy, którzy zobowiązania takie zaciągnęli. Co to za rozumny, wspaniały dokument! Do zupełnej doskonałości brak mu tylko daty: 13 maja 1926 r.

Niestety, wątpić można, ażeby w najbliższej przyszłości ożyły jego martwe litery. Wojna zrujnowała kredyt wszystkich naszych pojęć moralnych, a sanacja rozdeptuje ostatnie ich szczątki.

Zdarzył się świeżo wypadek wymowniejszy, niż najmądrzejsze lekcje. We Lwowie kilku młodych rusinów zwabiło do swego mieszkania listonosza z pieniędzmi, którego usiłowali zabić i obrabować. Jeden z nich został przytem zastrzelony. Na jego pogrzeb zgromadził się tłum rodaków z wieńcami na mogiłę poległego „w świętej walce“. Czy ta ohydna manifestacja nie świadczy o zupełnym zaniku uczuć moralnych, o przegniciu dusz aż do rdzenia? Zwyczajny, spodlony morderca i rabuś staje się uczczonym bohaterem narodowym. Ale dowiążmy do tego faktu inny, bardziej ograniczony w swej sromocie, jednakże rysujący smugę cienia na naszem społeczeństwie. Gdy w Warszawie wieziono na cmentarz zabitego, słynnego ze swych zbrodni bandytę Zielińskiego, za jego trumną szedł również tłumny orszak wielbicieli. Przechodnie i policjanci patrzyli na ten pochód bez zgrozy, bez protestu i bez jakiegokolwiek przeciwdziałania. Czy ten pogrzeb nie stanowił pewnego powinowactwa z lwowskim? W każdym razie był on zgodny ze stylem owych sanatorów, którzy publicznie urągają „moralnemu kwakerstwu“. Jest to owoc z ich szczepienia.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

RUSINI W MAŁOPOLSCE I „UKRAINA“

PLANOWE fabrykowanie „Ukrainy“ w Małopolsce Wschodniej rozpoczęła Austrja z początkiem tego stulecia z poduszczenia Niemiec. Systematyczna agitacja zrobiła swoje; dziś niebrak niedouczonych Polaków, którzy uważają tę nazwę za prawowitą, a przez to podtrzymują legendę, jakoby te ziemie były kiedykolwiek dla Polski „ukrainne“. Dyskusja na ten temat trwała szereg lat w prasie narodowej we Lwowie. Wziął w niej udział czcigodny historyk, dziś nieżyjący, Antoni Małecki (ur. 1821 zm. 1913). Przechowuję z pietyzmem autograf jego notatki z r. 1907. Była ona, zdaje się, ogłoszona w „Słowie Polskiem“, ale bez podpisu. Ponieważ tradycje polityki austrjackiej znajdują swoje echo w Warszawie i naiwnie a lekkomyślnie w sferach politycznych uznawana jest nazwa Ukrainy, przeto nie od rzeczy będzie dać znowu głos ś. p. Małeckiemu. Niech przemówi zza grobu. (Z. W.).

Na dobie. Rusini wierzą (albo udają, że w to wierzą), że Galicja wschodnia od czasów niepamiętnych do nich należała, że oni byli pierwotnymi jej mieszkańcami, że ludność polska tu się wzięła tylko z tytułu uzurpacji, jako żywioł napływowy i zdobywczy. Otóż ma się rzecz przeciwnie. Pierwotna ludność Galicji wschodniej była przed napływem Rusinów w te strony, odwiecznie polską, lechicka, tej samej narodowości, co w Galicji zachodniej i w całej Polsce. Najdawniejszy własny ich Latopisec (Nestor) pisarz z początku XII wieku składa dobitne, pozytywne, niewątpliwe co do tego świadectwo. Stwierdza na str. 624 (edycji Nestora w tomie I Monumenta historica Poloniae, pod rokiem 981), że dopiero w tymto czasie zaszło pierwsze wtargnięcie Rusi do tej ziemi lechickiej. Pisze tak:

„R. 981 Włodzimierz książę Kijowski wyruszył do Lachów i zajął ich grody, Przemyśl, Czerweń i inne grody, które i do tego dnia pozostają pod Rusią“.

A zatem przestrzeń kraju, od Przemyśla do Czerwonogrodu (bo ta miejscowość z lewego brzegu Dniestru, niedaleko od Seretu z prawej strony, na północ od Zaleszczyk leżąca, jest tym Nestorowym Czerweniem) była zaludniona w tych tak dawnych wiekach polskim ludem i było trzeba ją dopiero zdobywać (zająć), aby należała do księcia Rusi.

Drugie miejsce u Nestora na str. 692: R. 1018. „Bolesław (Chrobry, król polski) opuścił Kijów (w którym przez dziewięć miesięcy bawił jak w swoim) i mnóstwo ludzi wiódł z sobą i zajął dla siebie grody czerwieńskie i wrócił do swego kraju“.

Przy owej sposobności stała się ta ziemia politycznie polską prowincją. Aż do r. 981 była etnograficznie lacką ziemią, Polakami zaludnioną, pod jakimś własnym księciem miejscowym, którego pamięć nie doszła do nas. Ruski podbój trwał tu od 981—1018. Zauważyć tu należy to w liczbie mnogiej „grody czerwieńskie“: musiało zatem być tych grodów z tym przymiotnikiem tam więcej niż jeden.

Trzecie miejsce w tymże latopisie ruskim na str. 698: R. 1031 „Jarosław ks. kijowski i Mścisław zebrali mnogie woje, poszli na Lachy i zajęli grody czerwieńskie napowrót. I zagarnęli ladzką („ljadzką“ — więc i polski ten przymiotnik tak pisać lepiej) ziemię, i mnogie Lachy przywiedli, i podzielili ich (między siebie). I osadził Jarosław swoich wzdłuż Rosi i są tam do dziś dnia“.

Ponieważ „grody czerwieńskie“ w liczbie mnogiej i tu się znowu powtarza, więc rzeczywiście nie może się to do samego tylko dzisiejszego Czerwonogrodu stosować, ale musiał być i drugi tejże albo podobnej nazwy. Czyby miejscem tego grodu nie mógł być dzisiejszy przysiółek przy wsi Kunin, nazywany Czerwieniec, półtory mili od Żółkwi?

Z tych wzmianek ruskiego historyka wynika, że dzisiejsza Ruś Czerwona od najpierwotniejszych czasów była zaludniona przed lud lechicki czyli polski. Nawet po zaborze przez ruskich książąt nie sama tylka ruska ludność w niej żyła, ale mieszała się z zaludnieniem pierwotnem. To samo był i po zajęciu tej ziemi w r. 1340 przez Kazimierza W. Nikt z nas o tem dzisiaj nie marzy, żeby Rusinów naszych wypierać za Bug i Seret. Żyliśmy tyle wieków razem, żyjmy w tej łączności i nadal. Ale jakaż jest podstawa zachceń agitatorów ruskich, żeby się Polacy za San wynosili? żeby wszystko począwszy od Przemyśla tylko ruską było własnością? żeby ten kraj Ukrainą nazywać?

ANTONI MAŁECKI

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

ARMJA FRANCUSKA

CELEM polityki niemieckiej jest przywrócenie przedwojennych granic i przedwojennej potęgi Rzeszy. Głośno mówią politycy niemieccy o tem, że chcą osiągnąć ten cel na drodze pokojowej, po cichu są zdecydowani uczynić to drogą wojny — jeśli metody pokojowe nie dadzą pożądanego wyniku, lub jeśli będą po temu dogodne warunki zarówno wewnętrzne jak zewnętrzne.

Jest bezwzględnem złudzeniem przypuszczanie, iż przez propagandę pacyfistyczną będzie można zniweczyć pragnienie potęgi w Niemczech i dążenia wojenne narodu niemieckiego, jest również wielkiem złudzeniem, że pakty, traktaty i gwarancje międzynarodowe będą dostatecznem zabezpieczeniem przed agresywnemi dążeniami Niemiec. Doświadczenie wieków i obserwacja stosunków międzynarodowych wskazują na to, iż jedynie siła państw zagrożonych przez aspiracje polityczne Niemiec, oraz porozumienie między temi państwami mogą termin ataku niemieckiego oddalić, a więc przedłużyć czas trwania pokoju, a w razie ataku przeszkodzić Niemcom w urzeczywistnieniu ich zamierzeń. Siły zbrojne państw zagrożonych przez Niemcy i ich moralne pogotowie wojenne stanowią jedyną skuteczną gwarancję

bezpieczeństwa i pokoju w Europie. Jest to prawda, być może przykra i nakładająca na narody wielkie ciężary, lecz niemniej przeto prawdziwa.

Najsilniejszą i najlepszą armją w Europie jest dotychczas ta armja, która odniosła przedewszystkiem zwycięstwo w r. 1918 — armja francuska. To też dziś i długo jeszcze stan tej armji będzie momentem rozstrzygającym o utrzymaniu porządku rzeczy w Europie, ustanowionego przez traktaty w r. 1919, a tem samem i pokoju na naszym kontynencie. Stąd wynika, że stanem armji fracuskiej muszą się interesować nietylko Francuzi, lecz także wszyscy, których los zależy od przyszłych wydarzeń w Europie.

Oto łańcuch rozumowań, który sprawił, żeśmy z wielką uwagą i zainteresowaniem przeczytali świeżo wydaną w Paryżu książkę — „*Feue l'armée française*" i że zalecamy jej przeczytanie również uważnie nietylko wojskowym polskim, lecz i tym, co się interesują zagadnieniami politycznemi. Autor, będąc wojskowym, ze zrozumiałych powodów nie podał swego nazwiska, podpisał się jeno trzema gwiazdkami. Pamiętamy jednak, że gdy z tym samym podpisem drukował artykuły w czasopismach francuskich, to zwracano na nie w prasie uwagę, jako na pochodzące z pod pióra „wysokiego autorytetu wojskowego".

Nie posiadamy kompetencji dla oceny tej książki z punktu widzenia wojskowego. Możemy więc jedynie powiedzieć, iż autor jej stwierdza naprzód, że nowa organizacja armji francuskiej, uchwalona przez parlament francuski, wprowadzająca jednoroczną służbę wojskową, jest wadliwa, że prowadzi do dezorganizacji armji, oraz że zasady, na których ta nowa organizacja armji jest oparta, są wynikiem poglądów politycznych i moralnych, jakie dziś panują w rządzie i parlamencie francuskim. Krótko można określić te zasady, jako wynikające z ducha pacyfistycznego, o którym zgóry można było przypuszczać, że musi prowadzić do rozbrojenia moralnego. Autor omawianej książki twierdzi z całą stanowczością i z całem przekonaniem, że teorje genewskie i lokarneńskie; wiara w pokój wieczny, teorja wojny obronnej muszą prowadzić do dezorganizacji armji i do klęski w razie wojny. Przedewszystkiem dlatego, że cały ten sposób myślenia prowadzi do zniszczenia ducha rycerskiego i woli zwycięstwa, bez których nie może istnieć żadna armja.

Armja francuska, zreorganizowana na zasadach prawa z r. 1927 — 1928 będzie się zbliżała, zdaniem naszego autora, coraz bardziej do pospolitego ruszenia, które jest „wojskiem narodów barbarzyńskich". Będziemy może mieli — powiada on — wielką i jednorodną masę, lecz napewno nie będziemy mieli armji bojowej. Nasza armja jutrzejsza nie będzie zdolna do rozwiązania żadnego z zadań, które staną przed nią w razie konfliktu.. będzie ona zawsze spóźniona o jedną operację, o pewien odcinek czasu lub przestrzeni, nawet, mimo że to się wydaje paradoksem, o pewną ilość masy"... Autor powiada, że Francja idzie do celu — ukrywanego przez jednych, a głoszonego przez innych — do demilitaryzacji obrony narodowej, co skończyć się musi straszną katastrofą.

Nie jesteśmy w stanie ocenić wniosków autora. Gdyby fakty przezeń przytoczone były prawdziwe, gdyby tok rozumowania był ścisły, a wnioski trafne, to niepodobna by się było obronić przed poczuciem tragizmu....

Mimo to autor nie przemawia głosem Kassandry, zapowiadającej klęski i nieszczęścia. Ostrzega, lecz — czuje się to wyraźnie — wierzy w możność nawrotu na dobrą drogę i bodaj że widzi siły, które tego dokonać mogą.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

NIECO O KORCZAKU

JANUSZ Korczak, inaczej dr. Henryk Goldschmidt, jest tem dla naszej pedagogiki, czem Tuwim dla literatury pięknej. Podobnie jak Tuwim, Korczak króluje w witrynach sklepowych Mortkowicza: Korczak imponuje naszym wychowawcom tak władnie, jak Tuwim naszym plebejuszom literackim, Korczak jest bowiem obrońcą dziecka. Ni mniej ni więcej tylko obrońcą dziecka. Helena z Reichmanów Radlińska jest obrońcą pokoju międzynarodowego (tak samo Stanisław Posner); Henryk Kanarek Rowid jest obrońcą nauczyciela polskiego, a Korczak, Henryk Korczak jest obrońcą dziecka. To właśnie jest jego zawodem pedagogicznym.

Świat dziecka — to dla Korczaka coś w tym rodzaju, jak dla działacza socjalistycznego proletarjat: to teren ucisku i krzywdy. A jak duszę robotnika pozyskuje agitator socjalistyczny, malując mu jaskrawo otchłań nędzy proletarjatu, tak Korczak pragnie panować nad dzieckiem jako patentowany stróż jego prawa i swobody, jako piewca jego niedoli — prawdziwej i urojonej. Postulatom, by w duszę dziecka wpajać pierwiastki obowiązku i karności społecznej, postulatom silnych dogmatów moralnych, postulatom radości życia dla młodzieży — Korczak przeciwstawia uświadomienie krzywdy społecznej dziecka, konieczność przyznania dziecku praw człowieka dorosłego, skrajny liberalizm wychowawczy i uświadomienie niedoli dziecięcej wpajane samym właśnie dzieciom.

Dlatego też mówi się u nas o Korczaku, że „porywa dzieci swojemi powieściami" (choć jest to blaga, bo trudno o nudniejsze powieścidła), dlatego mówi się o nim, że to znakomity pedagog, „wychowawca z Bożej łaski", dlatego każdy wypadek niedoli dziecięcej (Studzieniec) wywołuje niechybnie odczyt, czy artykuł Korczaka i dlatego jest on bożyszczem socjalistyczno - masońskiej pedagogiki: wszak systematycznie przygotowuje jej proletarjat młodocianych, kadry niezadowolonych, niezbędne dla każdego przewrotu.

O tej niedoli proletarjatu dziecięcego mówi Korczak ciągle, mówi starszym i dzieciom. Do dzieci mówi o okrucieństwie szkoły i złych nauczycieli, dorosłym nakazuje stosować wobec dzieci te wypróbowane recepty, które w socjalistycznej klinice chorób społecznych zapisuje się przeciw chorobie nieznośnych stosunków burżuazji do świata pracy.

Oto np. ostatnia książka Korczaka: „Prawo dziecka do szacunku"*), broszura propagandowa do wychowawców. Jest to jeden jęk niedoli dziecięcej, skowyt bólu dziecka pokrzywdzonego, hymn zemsty i buntu, buntu dziecięcego proletarjatu. Oto np. obraz dziecka zaniedbanego:

„Potomstwo pijaństwa, gwałtu i szału. Wykroczenia są echem głosów nie z zewnątrz a wewnętrznego rozkazu. Mroczna chwila, gdy zrozumiało, że inne, że trudno, że kaleka, że wyklną, szczuć będą. Pierwsze decyzje walki z siłą, która złe czyny dyktuje...." (str. 38).

Zrozpaczone, zbuntowane, z pogardą dla uległego, łaszącego się pospólstwa cnoty — stają te dzieci przed wychowawcą; jedną może ostatnią zachowały świętość: niechęć do obłudy. Tę chcemy powalić, skatować. Krwawej dopuszczamy się zbrodni! głodem i torturą obezwładnimy nie bunt, a jawność jego, lekkomyślnie do biała rozżarzamy, nienawiść podstępu i hipokryzji.

Nie zrzekają się programu zemsty, odkładają, czekają na sposobność. Jeśli wierzą w dobro, w najgłębszej tajemnicy zagrzebią ku niemu tęsknotę.

— Dlaczego pozwoliliście się urodzić, kto wam się naprzał o moje psie życie?" (str. 39).

A oto obraz świata dorosłych - burżuazji z jednej, a proletarjatu dziecięcego z drugiej strony.

*) Warszawa 1929, wyd. J. Mortkowicza.

„Zbogaciliśmy się. Już nie z owoców własnej korzystamy pracy. Jesteśmy spadkobiercy, akcjonarjusze, współwłaściciele olbrzymiej fortuny. Ile posiadamy miast, gmachów, fabryk, kopalni, hoteli, teatrów; ile na rynkach towarów, ile okrętów je wozi. — narzucają się spożywcy, proszą, by użyć.

Zróbmy bilans, obliczmy, ile z ogólnego rachunku należy się dziecku, ile mu przypada w dziale nie z łaski, nie jako jałmużna. Sprawdźmy rzetelnie, ile wydzielamy na użytek ludu dziecięcego, narodu małorosłego, klasy pańszczyźnianej. Ile wynosi scheda, jaki winien być podział; czy nie wydziedziczyliśmy, — nieuczciwi opiekunowie, nie wywłaszczyli.

Ciasno im, duszno, biednie, nudno i surowo". (str. 26).

Jak proletarjat cierpi od obowiązku powszechnej służby wojskowej, tak dziecko cierpi niedolę powszechnego nauczania (!).

„Wprowadziliśmy powszechne nauczanie, przymus pracy umysłowej; istnieje registracja i pobór szkolny. Zwaliliśmy na barki dziecka trud uzgodnienia rozbieżnych interesów dwóch równoległych autorytetów.

Szkoła żąda, rodzice niechętnie dają. Konflikty między rodziną i szkołą obarczają dziecko. Rodzice solidaryzują się z niezawsze sprawiedliwem oskarżeniem dziecka przez szkołę, broniąc się przed narzucaną przez szkołę opieką.

Wysiłek służby żołnierza też jest przygotowaniem na dzień, gdy go wezwą do czynu; a przecież państwo zabezpiecza wszystkie jego potrzeby. Państwo daje mu dach i strawę; mundur, karabin i żołd jest jego prawem, a nie jałmużną.

Dziecko żebrać musi u rodziców lub gminy, podlegając przymusowi powszechnego nauczania. (str. 26 i 27).

A na tle tej niedoli dziecięcej tem okrutniej występuje obraz wychowawców - egoistów, myślących tylko o sobie, bezdusznych tyranów: policjantów.

„Czemu dziecko złe dla jednego wychowawcy, dobre dla drugiego? Żądamy uniformu cnót i momentów, nadto według naszych upodobań i wzorów.

Czy znajdziemy w historji przykład podobnej tyranji? Rozmnożyło się pokolenie Neronów" (str. 35).

— — — — — — — — — — — — —

„Jaka nasza wychowawców rola, jaki nasz dział pracy? Dozorca ścian i mebli, ciszy podwórka, czystości uszów i podłogi; pastuch bydła, by nie lazło w szkodę, nie przeszkadzało dorosłym w pracy i wesołych wywczasach; klucznik zdartych portek i butów i skąpy szafarz kaszy. — Stróż dorosłego przywileju i gnuśny wykonawca niefachowego kaprysu.

Kramik obaw i przestróg, stragan moralnej tandety, wyszynk denaturowanej wiedzy, która onieśmiela, plącze i usypia, zamiast budzić, ożywiać i cieszyć. Agenci taniej cnoty, mamy narzucać dzieciom czcie (!) i pokory, a roztkliwiać dorosłych, łechtać ciepłe wzruszenia (sic!). Za psi grosz budować solidną przyszłość, oszukiwać i zatajać, że dzieci są liczbą, wolą, siłą i prawem".

Zaczem apel do pobłażliwości, miłosierdzia, do szacunku dla dziecka...

Porozumiejmy się: sam przez się postulat współczucia dla niedoli dziecięcej, wejrzenia w duszę dziecka, zerwania z szablonem w wychowaniu, jest oczywiście słuszny. Ale skrajny liberalizm pedagogiczny i przesunięcie sprawy opieki nad dzieckiem na tradycyjnie socjalistyczny teren walki emancypującej się klasy uciemiężonego dziecka proletarjusza przeciwko burżuazji dorosłych i wychowawców — to tendencja nad wyraz niebezpieczna, tendencja społecznie rozkładowa, zwłaszcza, jeśli ją głosi literat, pisarz dla dzieci, który to samo mniej więcej, co dorosłym i wychowawcom — mówi nędznym proletarjuszom dzieciom.

Nie o illuzoryczny „bunt dzieci" chodzi, ale o systematyczne podkopywanie tych systemów wychowawczych, które przez wychowanie w karności i w czci dla autorytetów moralnych kształcą przedewszystkiem wolę dziecka, a z nią razem wolę narodu do karności w zbiorowem działaniu.

Żeby jednak zrozumieć wpływ Korczaka na młodzież, trzeba się przyjrzeć jego pismom dla młodzieży. Ale o tem innym razem.

T. JÓZEFOWICZ

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Znakomity publicysta i krytyk Stanisław Pieńkowski wydał bardzo interesującą i pożyteczną książkę, poświęconą sprawie żydowskiej. Nosi ona tytuł „W ogniu walki" (Warszawa 1929. Dom Książki Polskiej. Str. 200). Książka zasługuje na przeczytanie uważne. Postarano się zorganizować naszą publicystykę i literaturę w kształt sita, przez które nie przedostaje się do umysłów nic tragicznego, coby zmuszało do pomyślenia na serjo o losie cywilizacji polskiej. Za rzecz zdrożną i nieprzyzwoitą kazano uważać zajmowanie się kwestją żydowską. Dla tej jednej kwestji zdaje się pokierowano ruch umysłowy w ten sposób, ażeby Polak odzwyczaił się wogóle od myślenia o rzeczach dla życia doniosłych. Nie było innego sposobu. To też za bohaterstwo literackie i wydawnicze trzeba uważać ten tom Pieńkowskiego, złożony ze szkiców głębokich, przepojonych troską o byt kultury polskiej, a nadto napisany przepyszną prozą. Autor odwołuje się do instynktu samozachowawczego Polaków. Analiza duszy, postępowania i polityki żydów nie ma innego celu, jeno budzenie życia polskiego i jego energji, aby mogło być wolne i twórcze.

*

Młody poeta Miłosz Gembarzewski, znany czytelnikom z paru utworów, ogłoszonych w „Myśli Narodowej", wydał teraz (u F. Hoesicka) zbiór swoich pierwszych nowel p. t. „Krzak gorejący". Jest ich sześć, a wszystkie są z materjału historycznego, duszą zaś tych utworów jest umiłowanie dawności. Ten sam charakter miały jego poezje liryczne, wydane przed rokiem p. t. „Biały pióropusz". Ze źródeł twórczych ten rodzaj wzruszeń estetycznych jest w dzisiejszej poezji bodaj najrzadszy. Gembarzewskiego wzrusza dawność form kultury szlacheckiej. Przyczem widzenia jego są przeważnie figuralne, jakby wyobraźnia jego odtwarzała widoki przeszłości z portretów starych. Dziecko dwudziestego wieku, zasypiając wśród tych figur na ścianach, śni ich legendy. Portrety są prymitywne, a wyobraźnia poety jeszcze zbyt młoda, aby wskrzesić w całej pełni życie realne tych osób. Prymityw udziela się jego pióru i krępuje rękę nieśmiałą. Nowele przeto wyglądają jak stylizowane na prymityw, za mało mają powietrza i przejrzystości, życie odtworzone za mało ma soczystego miąższu. Obrazy przeszłości przytłaczają autora, jakby je ze snu odtwarzał urywanemi zarysami, niezawsze wystarczającemi dla celów plastyki.

Najpiękniejsza nowela jest pierwsza, opiewająca historję księdza Ignacego z Opalina na kresach, umęczonego przez kozaków (czasy Jana Kazimierza). Tutaj autor zapanował jako artysta nad obrazem. W owym proboszczu schwytał na gorącym uczynku twórcę owych portretów, które ciążą na jego wyobraźni. W innych nowelach siła plastyki nie zawsze dopisuje.

Przypuszczać można, że w miarę rozwoju sił artystycznych, wymagających dłuższej kultury, talent Gembarzewskiego, nabrawszy śmiałości, zapanuje nad materjałem i wprowadzi do obrazów słońce i barwy. Powinien się jednak obliczyć już teraz z tą swoją siłą twórczą, jaką posiada — z owem umiłowaniem dawności. Czy nie zużytkować jej na dziejopisarstwo? Talent poetycki bardzo był przydatny prozie Kalinki, Szujskiego, Szajnochy, Kubali.

*

W cyklu ozdobnych „Książek pudełkowych" (nakł. Wyd. Polskiego w Poznaniu), gdzie wpierw ukazały się „Bezgrzeszne lata" Makuszyńskiego i „Lato leśnych ludzi" Rodziewiczówny, spotykamy teraz „Bajki polskie wujka Czesia". Pseudonim ten, a raczej poufałą nazwę, nosi w Poznaniu znany i pracowity literat, Czesław Kędzierski, który od lat kilku gorliwie zajmuje się badaniem rodzimego folkloru, szczególniej wielkopolskiego. Przed dwoma laty podnosiliśmy na tem miejscu wartość jego dwu zbiorków baśniowych, noszących tytuły „Mysia wieża" i „Czarnoksiężnik Twardowski". Zbiorki te zjednały autorowi dużą wziętość, która się jeszcze wzmogła, gdy ciąg ich dalszy zaczął „wuj Czesio" wygłaszać przez radjo. Odtąd — jak w przedmowie do „Bajek" stwierdza St. Wasylewski — młodzi i starzy niecierpliwie czekali każdej środy, by posłuchać tych pięknych a swojskich opowieści, które obecnie już nietylko *volant* (dosłownie) jako *verba*, ale i *manent*, jako *scripta* — i to w tak powabnej szacie książkowej. Podobno w przygotowaniu jest już i druga serja tych bajek; prócz baśni wielkopolskich przydałyby się i baśnie z innych stron Polski, do czego chętnych pracowników braknąć nie powinno. W formę bajki ujęta też jest piękna przedmowa Kędzierskiego do nieśmiertelnych baśni Andersena, które — w tejże edycji — ozdobione zo-

stały nowym pięknym przekładem i pięknemi ilustracjami. Ostatnią dotąd wydaną książką tej serji jest miła powiastka K. Douglas Wiggin p. t. „Dziewczątko", przetłumaczona przez W. Pieniównę, — następny tom ma przynieść kapitalne powiastki w sam raz dla małych dzieci" (*Just so Stories for little Children*), po raz pierwszy naprawdę przełożone na język polski — dotąd bowiem istniały jedynie niedołężne i mocno okrojone przeróbki drobnej ich cząstki (z 15 powiastek uwzględniano tylko 7 „najłatwiejszych", a opuszczano wszystkie wiersze!), opatrzonej zgoła błędnym tytułem „Takie sobie bajeczki.."

*

Bernard Shaw słynie przedewszystkiem jako autor dramatyczny; mniej natomiast wiadomo u nas o jego powieściach. Jest to poniekąd słuszne, gdyż powieści te, nader zresztą nieliczne i powstałe w młodszych latach twórczości wielkiego pisarza, nie mają tej wartości literackiej, ani oryginalności stylu, co utwory sceniczne. Sam autor, oczywiście z ironiczną przesadą, nazwał je tworami niemowlęcia. W każdym razie nie bez pożytku będzie dla czytelnika polskiego zapoznanie się z powieścią „Miłość śród artystów", która wyszła w poprawnym, miejscami (zwłaszcza w pierwszych rozdziałach) bardzo dobrym, przekładzie Florjana Sobieniowskiego. Zaciekawienie Polaka budzić musi przedewszystkiem jedna z głównych postaci, urodziwa Polka Aurelja Szczymplica (nazwisko ponoś specjalnie trudne dla Anglika), światowej sławy pianistka, przejęta samolubną miłością sławy i sztuki, a chłodna w uczuciach kobiecych. Jej przeciwieństwem jest wspaniale nakreślony kompozytor Jack, dziwak kompozytor, pełen żywiołowego rozmachu nietylko w twórczości, ale i — w manierach towarzyskich. Inne postaci powieści, z wyjątkiem dość epizodycznego Karola, są raczej matowe i nie zajmujące. Bo też w całem dziele znać jeszcze niewyrobienie młodzieńcze autora, który niepotrzebnie rozszerzył do rozmiarów powieści dość nikłą treść, nadającą się wybornie — dzięki kilku kapitalnym motywom — raczej do napisania tęgiej komedji. Jako powieść większe walory ma inne dzieło B. Shaw, a mianowicie *Cashel Byron's Profession;* tę powieść powinna była raczej „Bibljoteka Laureatów" wysłać na pierwszy ogień. — Uroku dodaje omówionemu tomowi piękna i dowcipna przedmowa Stanisława Wasylewskiego.

*

Lutowy zeszyt „Ruchu Literackiego" zawiera interesujący artykuł M. Piszczkowskiego o przesileniu, które przechodzi obecnie polonistyka w uniwersytecie (z powodu przeludnienia) i w metodzie (chaos). O architektonice „Wyzwolenia" pisze H. Życzyński, o stanie naszego czytelnictwa p. Chorowiczowa. Działy sprawozdań i bibljografji bardzo bogate.

*

P. Stanisław Łoza, autor książki „Ordery i odznaczenia" nadesłał nam list z nadmienieniem, że w sprawozdaniu w nr. 2 „Myśli Narodowej" o tej książce opuszczone zostało jego nazwisko jako autora, a wymieniono jedynie nazwisko p. Bieńkowskiego, który książkę ilustrował. Niniejszem więc to przypadkowe, niemiłe przeoczenie drukarskie uzupełniamy.

Ponadto nadmienił p. Łoza kilka uwag, zwalczających zarzuty sprawozdania. I tak. Książka podaje rzekomo tylko te ordery, którymi dekorowani byli Polacy, a inne zbywa krótką wzmianką. Otóż te ordery, których żaden Polak nie posiadał jak np. Order Podwiązki, Ostu, Łaźni, Słonia winny być, naszem zdaniem, cytowane również jak i te, któremi Polacy byli odznaczeni, nie w porządku dowolnym, ale w ich hierarchji.

Dalej Order Złotego Runa nadawany był, jak to w sprawozdaniu wyraziliśmy, przez cesarzy austrjackich nie z tytułu ich władzy, ale z prawa Głowy Domu Habsburgów, czego dowodem, że cesarz Karol już po abdykacji w r. 1918 nadał go w r. 1921 (hr. Ersterhazemu).

Zakonu Joannitów nie można traktować jako odłamu Suwerennego Zakonu Rycerzy Św Jana Jerozolimskiego gdyż charakter jak i historja jego poszły dwiema drogami wręcz przeciwnemi. Joannitą może być tylko protestant, protektorami ich byli królowie pruscy i zajmowali wobec katolicyzmu wręcz wrogie stanowisko. Tymczasem Zakon Maltański miał i ma charakter wybitnie katolicki, stoi pod protektoratem Stolicy Apostolskiej i prócz wyjątków, następstw wyjątkowych sytuacyj politycznych, tylko katolikom bywa nadawany.

Wskutek zajęcia przez Anglję wyspy Malty, terytorjum Zakonu, zaopiekował się Zakonem car Paweł I i ogłosił się jego Wielkim Mistrzem. Stało się to wyjątkowo z powodu konieczności politycznych, a w następstwie sprawiło, że pewna ilość prawosławnych Rosjan została kawalerami maltańskimi. Także wyjątkowo był, jako panujący, baillivem Zakonu, cesarz Wilhelm II, protestant. Podobnie car Mikołaj II, wielki ks. Paweł, ks. Connaught, i t. d.

Zakon Teutoński stoi również pod opieką Stolicy Apostolskiej, i mimo, że faktycznie od r. 1918 nie przyjmuje rycerzy świeckich, to jednak de iure nic temu na drodze nie stoi. Przyjmuje nowych członków duchownych, a rocznik o stanie „Ordinis Teutonici", wyszedł kilka lat temu.

Wyjaśnienia nasze, podane wyżej, dowodzą, że drobne nasze zarzuty co do niektórych nieścisłości książki były słuszne.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ameryka, której supremacja materjalna coraz bardziej daje się odczuwać na naszym starym kontynencie, przychodzi i do literatury, w której staje się zresztą bardzo modną. Ostatnia powieść Pierre Mac-Orlan p. t. *„Dinah-Miami"* (Larousse) porusza temat mało znany naogół, a mianowicie nienawiść murzynów amerykańskich do ludzi białych. Statek, na którym znajduje się mnóstwo beczek i butelek alkoholu, dostaje się do rąk murzynów. Ci bynajmniej nie wyróżniają ich, ale zatruwają napoje. Ten dramat zemsty został obmyślany i wykonany przez kobietę, tajemniczą Dinah. Można sobie wyobrazić tragiczne konsekwencje tej zbrodni, której nie brak licznych oczywiście ofiar. Pierre Mac-Orlan z właściwym sobie talentem odmalowuje ten specjalny świat handlarzy, ich namiętności i ich nienawiści rasowe. Książka ta zresztą, jak wogóle wszystkie powieści autora *„Cavalière Elsa"* posiada również tę odrębną atmosferę i nastrój, pod których wpływem zbrodnia i przestępstwa oraz wszystkie niskie uczucia ludzkie jeszcze dobitniej występują.

*

O. Martinez Saralegui, Marjanista, ogłosił drukiem wielce ciekawą książkę p. t. *„El ideal como auxiliar en la autoeducation de la juventud"* („Ideał jako czynnik samowychowania młodzieży"). Doświadczony pedagog i utalentowany autor podaje tu szereg doskonałych rad, mających ogromne znaczenie zarówno dla młodzieży jak wychowawców. Trafne spostrzeżenia, pełne wzruszających motywow zapadają w głąb duszy czytelnika.

*

Słynny dramaturg włoski Pirandello wykończył scenarjusz oparty zasadniczo na komedji własnej p. t. „Sześć postaci w poszukiwaniu autora", odbiegający od niej jednak w szczegółach. Film ma być sporządzony w Berlinie.

ZMARLI

WIKTOR PORZEZIŃSKI

ZMARŁY w Warszawie znakomity uczony, ś. p. dr. Wiktor Porzeziński, profesor językoznawstwa porównawczego na Uniwersytecie Warszawskim, urodził się w r. 1870 w Rosji. Studja wyższe odbył na wydziale historyczno - filologicznym Uniwersytetu Moskiewskiego, pod kierunkiem prof. F. Fortunatowa i W. Millera. w r. 1905 habilitował się. Był profesorem językoznawstwa porównawczego na Uniwersytecie Moskiewskim do 1 czerwca 1929 r. W roku 1922 przybył do kraju, gdzie objął na Uniw. Warszawskim katedrę językoznawstwa indoeuropejskiego.

Ś. p. Porzeziński był członkiem zwyczajnym Polskiej Akademji Umiejętności, prezesem Polskiego Towarzystwa Językoznawczego i wiceprezesem kasy im. Mianowskiego. Pozatem brał czynny udział w pracach szeregu towarzystw naukowych.

Działalność naukowa Porzezińskiego obejmowała zagadnienia z dziedzin: językoznawstwa ogólnego, porównawczego oraz indoeuropejskiego. Głównym przedmiotem zainteresowań zmarłego były języki: litewski i łotewski.

Z zakresu zagadnień językoznawstwa ogólnego wydał zmarły znakomitą pracę p. t. „Wstęp do językoznawstwa". Wkrótce po ogłoszeniu tej pracy została ona przetłumaczona na język niemiecki, zyskując autorowi uznanie wśród sfer naukowych.

Z zakresu językoznawstwa porównawczego wydał ś. p. prof. Porzeziński podręcznik gramatyki porównawczej języków słowiańskich. Osobną pracę poświęcił zmarły językowi rosyjskiemu, wydając dzieło pd tyt. „Zarys historji języka rosyjskiego". Wysoką wartość naukową posiada praca, omawiająca pomniki języków połabskich.

Po powrocie do kraju ś. p. profesor Wiktor Porzeziński pracuje w komitecie redakcyjnym „Prac Filologicznych", gdzie ogłasza sprawozdanie z polskiego ruchu językoznaw-

czego. Szereg prac zmarłego ukazało się w kwartalniku naukowym *„Slavia Occidentalis“* wychodzącym w Poznaniu.

ANTONI LANGE

ZMARŁ w Warszawie w 68-ym roku życia niepospolity pisarz Antoni Lange. Był członkiem Straży piśmiennictwa polskiego, a więc dożył wysokiego w świecie literackim uznania, Straż bowiem uważana jest za ekwiwalent Akademji Literackiej. Zasłużył istotnie na ten zaszczyt i na pamięć człowieka szlachetnego. Życie swoje poświęcił ideałom piękna poetyckiego. I przebył tę ciężką drogę bez załamania się moralnego, zgodzony z losem ubóstwa i społecznego odosobnienia.

Na kilkoletnich studjach w Paryżu (1886 — 1892) zakosztował smaku życia literatury na wielką skalę, co potem, gdy wrócił do Warszawy pozwoliło mu ożywić ruch literacki polski w poszukiwaniu nowych form. On to zaszczepił nam Baudelaire'a (Kwiaty grzechu), Banville'a (Pocałunek). Nęciła go światowość poezji, tajemnica słowa i rozmaitość form przy wspólności idej w przestrzeni i czasie. Przenikanie tajemnic mowy ludzkiej było jego pasją i czyniło go poliglotą, pociąg zaś do rozmaitości form robił go wirtuozem słowa i rytmu.

Kulturę polską kochał nad inne; żeby się ściślej z nią związać przyjął katolicyzm, ale nie zrobił tego dla pokazu, więc mało kto o tem wiedział. Wrodzony miał jednak popęd uniwersalistyczny, co w sztuce tłumaczyło się i potęgowało podchodzeniem do idej ze strony djalektycznej przez słowo, w którem wyczuwał czar mistyczny jakiegoś samoistnego życia, nowe światy tworzącego, siłę niemal kabalistyczną.

Wiele przekładał. Oprócz powyżej wymienionych poetów, przełożył Flauberta „Kuszenie św. Antoniego“, wydał dwa tomy „Przekładów z poetów obcych“ antologje poetów japońskich, włoskich, węgierskich, a z sanskrytu przekłady Nal i Damayanti, Savitri, Ramaynę, Maha - Bharatę, epos babiloński Enuma - Elisz, baśni egipskie i in.

Dowody studjów swoich złożył w dwu tomach Studjów i wrażeń, oraz Studjów z literatury francuskiej. Z oryginalnych utworów ogłosił: Pogrzeb Shelleya (1890), dwa tomy Poezyj, poemat Pogrobowcom, Pierwszy dzień stworzenia, dwie tragedje Wenedzi i Atylla, oraz trzy tomy powieści i nowel.

Spełniał pozatem wiele prac zarobkowych, istotą jednak jego życia była poezja. Ona abstrahowała go od życia, do którego nie miał instynktu, porywając go w świat konstrukcyj artystycznych lub pojęć metafizycznych. Pierwsze utwory drukował w „Głosie“, poczynając od r. 1889. Tam ogłaszał przekłady Baudelaire'a. Należał potem do redakcji nowego „Głosu“ (1895 — 1899) razem z Reymontem. Nikt lepiej, jak Lange, nie nadaje się do zestawienia z Kasprowiczem, który jednocześnie tam pisywał. Gdy ten wyrażał entuzjazm dla życia, Lange lubował się w paradoksach: „Zbyt życie ukochałem, aby pragnąć życia“ *(Vox posthuma,* 1889); gdy Kasprowicz wszystko niemal, co formy tyczy poświęcał dla rytmu wewnętrznego, Antoni Lange budził podziw kusztem w słynnym utworze „Rym“, gdzie wszystko poświęcone było dla niespodzianek rymu. Tamten śpiewał życie duszy, bezwiednie rodząc słowo, ten słowo hodował, aby przez nie trafić w życie. I nie doszedł z niem do ładu. Niepokój duszy wzrastał z wiekiem, który z obłoków zbliża do rzeczywistości, szarpiąc serce dysonansem; podczas gdy Kasprowicz zasnął ukojony harmonją.

Zamknął się w grobie Antoniego Langego jeden z trudniejszych żywotów, obarczony niepokojem. Ciężki jest los poety, wypuszczonego w światy bez powrotu do życia, któreby osłoniło biedną głowę od błyskawic, rwących mózg niesyty widzeń.

Niechże znajdzie ten spokój w grobie! W.

NA MARGINESIE

Jak wygląda obecna rzeczywistość polska, która Polskę kosztuje tyle cierpień materjalnych i moralnych. Podczas dyskusji budżetowej w Senacie minister spraw wojskowych, broniąc swego budżetu, rzucił oskarżenie na swych poprzedników, że okradali skarb Państwa. Na zapytanie, kto, kiedy, ile — nie było odpowiedzi. Dopiero od b. wiedeńskiego adwokata, obecnie obrońcy kursu sanacyjnego, p. Hofmokla-Ostrowskiego dowiadujemy się, co mamy o tem wszystkiem myśleć. Pisze on w swojem piśmie, karcąc tych, którzy do zarzutu powyższego przywiązują wagę:

„Gdzieś tam, kiedyś, za czasów Sulejówka, jakiś oficerek szepnął marszałkowi, że tam gdzieś, kiedyś, jakiś minister z jakimiś posłami... Ubarwił niewinną historję odpowiednio i to obecnemu ministrowi spraw wojsk. utkwiło w pamięci. A że od czasu do czasu lubi nam i wam trochę nawymyślać, więc w ferworze krasomówczym trochę „peresadył sakramentom“, jak mówią nasi bracia Rusini... pardon, Ukraińcy. Widząc zaś jak dokoła kradli i kradną, trochę ten interes „zgeneralizował“. Ci zaś to teraz nagonkę urządzają, urządzają ją *mala fide*

Wszyscy, wszyscy oni wiedzą, że marszałek tego serjo nie myślał, że poprostu po ludzku, trochę przeholował. Ponadto... wszyscy ci Katoni wiedzą dalej, że tego co mówi marszałek nie wolno brać *a la lettre,* że wszystko, co mówi, jest symboliczne, wszak sam więcej jest symbolem, niż rzeczywistością, że jest to zresztą jedyny człowiek u nas, któremu wszystko wolno. A mimo to usiłują go ściągnąć na przeciętny poziom i rozrachować się zwyczajnem liczydłem“.

Boże! A kraj tymczasem chciałby tylko jednej rzeczy: znaleźć się na przeciętnym poziomie. Być tak, jak inne — wedle wskazań Wyspiańskiego. Tak nas już zmęczyła nadzwyczajność, cudowność i symboliczność!

*

Interesująca przygoda spotkała feljetonistę „Słowa“ wileńskiego. Chcąc utrafić w sentyment czytelników rozpisał się w dwu numerach o Józefie Rafale Mickiewiczu, ostatnim żyjącym potomku Mickiewicza Adama, jako że jest opuszczony, pozostaje w nędzy i że naród powinien i t. d. Pan Józef obraził się i wystosował sprostowanie: Wiedział co robi, trzymając się zdala od kolonji polskiej; jeżeli grywał na fortepianie w kinie, to dla własnej przyjemności; „Każdy układa życie, jak mu się podoba. Nigdy w biedzie nie byłem. Dziś w moim wieku zmieniać swego życia nie będę i nie życzę sobie stać się honorowym przewodniczącym obchodów polskich“. Stało się, jak w bajce: „Że zamknięty w skorupie nie wygodnie siedział, żałowała mysz żółwia; on jej odpowiedział: „całuj mnie w nos“. I słusznie.

*

„Rok temu „Południowo-Czeski Przegląd“ (*„Jihoceski Prehled“*) wystąpił z artykułem pod hasłem „Regjonaliści wszystkich krajów, łączcie się!“ Autor artykułu, jeden z ideologów regjonalizmu czeskiego, pisze: Regjonalizm znaczy więcej niż samorząd. Jest to autokultura. Bynajmniej nie kultura dla siebie. Ale ze siebie. Dobrze jest to przypomnieć. Dni dzisiejsze ujawniły takie właśnie znaczenie regjonalizmu, Żupy (jednostki administracyjne czeskie) są zagadnieniem większości tylko jako problem samorządowy. Jako problem aktywności kulturalnej, są kwestją wybijającej się mniejszości“.

Kto to pisze? Jest to dosłowny przedruk z n-ru 6 „Głosu Nauczycielskiego“, urzędowego organu Zw. Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i bojowego organu regjonalizmu polskiego. Jeśli jednak ta groryfikacja regjonalizmu jako kwestji „wybijającej się mniejszości“ ma pociągnąć do współpracy z tym ruchem nauczycielstwo polskie, to winszujemy orjentacji politycznej!

OD REDAKCJI. Z powodu nieprzewidzianych okoliczności technicznych, zmuszeni byliśmy ten zeszyt przenieść do innej drukarni, co nie pozwoliło nam wypełnić należycie niektórych rubryk.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM